CENA 1.50 ZŁ

1 Rok XVI (790)

7. 1. 73

MELCHIOR WAŃKOWICZ

OPOWIADA

O ŁODZI, HUBALU KSIĄŻCE I O SOBIE

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

MINĄŁ ROK!

Minął rok 1972 — drugi rok bieżącej pięciolatki. Wprawdzie ekonomiści i statystycy dopiero zasiedli do sporządzania szczegółowych bilansów, aby obliczyć dokładnie, co i ile zrobiliśmy. Tym niemniej można już pokusić się o wstępną ocenę, koncentrując uwagę nie tyle na szczegółach, co na panujących w ubiegłym roku tendencjach. Panuje opinia, że pracowaliśmy dobrze, lepiej niż w latach poprzednich, ale jeszcze nie tak, jak potrzeba, nie tak, aby dostatecznie nadrobić zaległości i zaniedbania.

Na ostatnim posiedzeniu Sejmu PRL, jakie odbyło się pod koniec ubiegłego roku, premier Piotr Jaroszewicz powiedział m. in.:

„...nie powiedzieliśmy jeszcze ostatniego słowa, (...) stać nas na więcej, (...) możemy jeszcze szybciej i wydatniej pomnażać potencjał kraju i zwiększać nasz polski wkład w międzynarodowy dorobek socjalizmu".

A więc możemy pracować lepiej. I aby tak było trzeba uświadamiać sobie zarówno to, co w ostatnim okresie było w naszym działaniu gospodarczym i społecznym dobre, jak i to — co złe, co nam przeszkadza i co utrudnia nasze wydłużanie kroku.

Nie wszystkie przedsiębiorstwa Łodzi i województwa łódzkiego wykonały wprawdzie swoje plany produkcyjne, ale zdecydowana większość wywiązała się z przyjętych na początku roku zadań i dała jednocześnie znaczną dodatkową produkcję. Lista tych przedsiębiorstw byłaby bardzo długa, dlatego posłużmy się może tylko przykładami tych, które już w listopadzie ubiegłego roku znacznie przekroczyły zobowiązania produkcyjne. Był wśród nich łódzki **„Wizamet"**, były **ZPO „Polboy", Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Przemysłu Mięsnego, Wojewódzkie Zakłady Chłodnicze i Zakłady Produkcji Elementów Budowlanych.**

Pracowaliśmy dobrze w ubiegłym roku. W Łodzi po 11 miesiącach tempo wzrostu sprzedaży wyrobów gotowych i usług przemysłowych dla innych przedsiębiorstw wynosiło **7,6 proc.**, a tempo przyrostu produkcji globalnej — **7,5 proc.** W województwie łódzkim po pierwszym półroczu ubiegłego roku tempo wzrostu sprzedaży wyrobów gotowych i usług przemysłowych przekroczyło **16 proc.** Według bardzo ostrożnych przewidywań oblicza się, że przemysł województwa łódzkiego osiągnie **12-procentowy** przyrost produkcji.

Te dobre wyniki — wyrażane procentami, za którymi kryją się konkretne wyroby różnych dziedzin przemysłu — pozwalają ustalić wyższą dynamikę wzrostu produkcji zarówno dla Łodzi jak i województwa łódzkiego. Łódź w roku bieżącym po raz pierwszy od dłuższego czasu nie tylko osiągnie, ale i przekroczy krajowe tempo przyrostu produkcji. Jeśli bowiem dla kraju przyjmuje się wzrost produkcji 9,7 proc., to dla przemysłu Łodzi wynosi on — 9,9 proc. Aby to osiągnąć trzeba będzie przede wszystkim pracować głową — nauczyć się nie tylko pięknie deklarować o nowoczesnych technologiach, o lepszym zarządzaniu przemysłem, o postępie technicznym, ale słowa i projekty przemieniać w rzeczywistość.

INACZEJ, ALE JAK?

Stało się już niedobrą tradycją, że każdy trzeci rok kolejnej pięciolatki przynosił załamania i zmuszał do rezygnacji z wielu zadań produkcyjnych, skłaniał do ograniczania tempa przyrostu produkcji, co odbijało się ujemnie na poziomie życia przede wszystkim najniżej zarabiających. Obecnie nie ma takiego niebezpieczeństwa. Sejm PRL przyjął na rok bieżący zadania wyższe od zadań roku ubiegłego, a niekiedy nawet przewyższające te, które czekają nas w roku przyszłym.

„Potwierdza to — że ponownie odwołam się do słów premiera Piotra Jaroszewicza z jego, sejmowego przemówienia — **że maksymalizacja celów, związana z korektą zadań w górę stała się zasadą naszego działania, co zawdzięczamy zaangażowaniu, zdyscyplinowaniu i ofiarnemu wysiłkowi milionów ludzi pracy".**

Wniosek stąd jednak, że i w roku bieżącym będzie nas obowiązywać to samo zdyscyplinowanie, zaangażowanie i ofiarna praca. I dlatego trzeba nie tylko uświadomić sobie, co robiliśmy źle, ale zdecydowanie to odrzucić, skutecznie przezwyciężyć słabości.

Postępowi i usprawnieniom w jednych dziedzinach muszą towarzyszyć takie same poczynania w innych. Oto — dla przykładu — tomaszowski „WISTOM", przezwyciężając liczne trudności, rozpoczął w ubiegłym roku produkcję wiskony i tomofanu. Stało się to znacznie wcześniej niż ostatecznie ustalono. Przemysł lekki otrzymał więc wcześniej niż spodziewał się włókna bawełnopodobne, na które — jak od dawna zapewniano — niecierpliwie czekał. Tymczasem okazało się, że przemysł lekki ma pod dostatkiem importowanych włókien bawełnopodobnych i tomaszowska wiskona mu na razie niepotrzebna. Tak to inicjatywa na jednym odcinku gospodarki spowodowała kłopoty na innym i — co gorsze — rozgoryczenie ludzi, którzy inicjatywę tę wykazali, którzy starali się robić jak najlepiej.

Albo inny przykład z tego samego „WISTOMU" i z „CEFOLU" z Wojciechowa. „WISTOM" dał również wcześniej, w stosunku do ostatnich ustaleń, produkcję tomofanu. Miał na ten produkt czekać przemysł opakowań. A jak wiadomo, z opakowaniami nie jest u nas najlepiej. Myślano więc w „WISTOMIE", że rodzimy przemysł opakowań weźmie wcześniejszą produkcję z przysłowiowym pocałowaniem ręki. Ale gdzie tam! Nikt bowiem nie pomyślał o koordynacji poczynań. „Wistom" może już dawać tomofan lakierowany, a myśli nawet o nadrukach na tomofanie, zamieniając się powoli w wytwórnię opakowań, tylko — jak na razie — nie ma chętnych do odbierania tego, co „WISTOM" może i musi produkować.

Dalszy ciąg na str. 5

PRZEGRANA ADMIRAŁA DOENITZA

MAREK SOKOŁOWSKI

1 maja 1945 r. o godz. 22.25 radiostacja w Hamburgu przerwała program, zapowiadając komunikat o „smutnym i ważnym wydarzeniu". Po kilku taktach „Zmierzchu bogów" Wagnera spiker odczytał specjalny komunikat Oberkommando der Wehrmacht:

„Z Kwatery Głównej Fuehrera doniesiono, że nasz wódz, Adolf Hitler, poległ za Niemcy dziś po południu na swym stanowisku dowodzenia w Kancelarii Rzeszy, walcząc do ostatniej chwili przeciwko bolszewizmowi. 30 kwietnia Fuehrer mianował swym następcą wielkiego admirała Doenitza".

Komunikat ten nie przedstawiał wydarzeń zgodnie z prawdą. Hitler bowiem popełnił samobójstwo 30 kwietnia 1945 r. w berlińskim bunkrze pod Kancelarią Rzeszy, zażywając truciznę.

Dalszy ciąg na str. 6

Korespondencja z NRF

PERYPETIE F. J. STRAUSSA

WITOLD GÓRALSKI

Z okazji parlamentarnych wyborów w NRF oglądałem codziennie na ekranie telewizora czołowych polityków niemieckich w zażartej dyskusji przedwyborczej. Nazwiska ich są dobrze znane. Emanujący reklamowym uśmiechem **R. Barzel**, przeorany troskami **W. Brandt**, gładki i wypudrowany **W. Scheel** i... **Franz Jozef Strauss**, którego wielka nalana twarz wypełniała po brzegi telewizyjny ekran.

Dalszy ciąg na str. 6

ZE ŚWIATA

Marzeniem komentatora spraw międzynarodowych jest — w oparciu o realia — omawiać rozwijającą się sytuację optymistycznie. Zwłaszcza przyjemnie byłoby w takim tonie utrzymać pierwszy komentarz w nowym roku. Złożoność sytuacji międzynarodowej częstokroć jednak paraliżuje te chęci. Dlatego też, nie wnosząc najmniejszej korekty do globalnej oceny zachodzących w świecie procesów, o czym pisaliśmy w ostatnim numerze ubiegłorocznym, musimy jednak 1973 rok rozpocząć od omówienia zjawiska negatywnego — kolejnej eskalacji działań wojennych w Wietnamie. Po bardzo krótkiej, świątecznej przerwie Stany Zjednoczone podjęły nasilone ataki lotnicze na DRW, nie oszczędzając obiektów cywilnych. Zbombardowany został również nasz statek, śmierć poniosło kilku członków załogi. Wojna z powietrza rozgorzała w niespotykanych rozmiarach.

Brutalne akcje USA wywołały sprzeciw na całym świecie, a jednocześnie wzmogły przyjazne uczucia do dzielnego narodu wietnamskiego, który nie ugina się przed siłą militarną. O jej rozmiarach piszą w komentarzach liczne gazety. Obliczono na przykład, że siła zrzuconych przez USA bomb na Wietnam od 1965 roku, równa się 300 bombom atomowym i że w wyniku nalotów na Indochiny powstało tam 26 mln kraterów. Wyrzucona przez eksplozje masa ziemi jest dziesięciokrotnie większa niż przy budowie Kanałów Sueskiego i Panamskiego razem wziętych. W omawianym okresie wystrzelono blisko 7 mln ton amunicji artyleryjskiej oraz rozsiano ok. 90 tys. ton chemikaliów, którymi wojska amerykańskie posługują się dla unicestwienia życia biologicznego. Tylko w latach 1965—1971, według oficjalnych danych, USA wydatkowały na wojnę w Wietnamie 126 mld dolarów, czyli ok. 3 tys. dolarów na statystycznego mieszkańca tego kraju.

Oto, skrótowo zaledwie zaprezentowana statystyka siły, którą Stany Zjednoczone włączyły w wojnę wietnamską. Nie złamała ona jednak walczącego o prawo decydowania o swym losie narodu wietnamskiego. Ale z tego oczywistego faktu Waszyngton nie wyciągnął wniosków. Raz jeszcze wzmógł nacisk militarny (podano, że w drugiej połowie grudnia dokonano 1 tys. lotów bojowych nad DRW), na tej drodze próbując dopomóc sobie w ostatecznym ustaleniu porozumienia o przerwaniu działań. Jak płonne to nadzieje — mówił przed kilku dniami wiceprzewodniczący delegacji TRR Wietnamu Płd. na rokowania paryskie — Dinh Ba Thi. Zmasowane naloty nie zmuszą komunistów wietnamskich do uznania Thieu za przywódcę Wietnamu Płd. — stanowisko nasze pozostaje niezmienne: USA muszą podpisać porozumienie w wersji przygotowanej podczas poufnych rozmów w październiku. Z tej wypowiedzi dowiadujemy się, że w trakcie dodatkowych rozmów, jakie na życzenie strony amerykańskiej toczyły się w Paryżu, Kissinger podniósł kwestię suwerenności reżimu sajgońskiego w całym Wietnamie Południowym. Jest to więc znów próba zignorowania faktu, że na południu Wietnamu istnieją dwie administracje i dwie armie.

Ostatnie dni oddaliły perspektywę pokoju w Wietnamie, ale wzmogły też nacisk na Stany Zjednoczone przerwania błędnego koła eskalacji. Z Waszyngtonu i innych miast amerykańskich napływają informacje o nasilających się głosach, żądających, aby Nixon wyjaśnił publicznie, dlaczego podjął decyzję wzmożenia wojny. Administracja zaś boi się, aby Kongres nie uznał, iż Nixon przerwał rokowania. Wzmagający się nacisk zewnętrzny i wewnętrzny na zakończenie wojny pozwala przypuszczać, iż mimo nowych komplikacji nadzieje na pokój w 1973 roku nie wygasły.

* * *

Z wydarzeń przełomu lat 1972/73 odnotujmy również przemówienie prezydenta Sadata, w którym dał on wyraz pewnemu zniecierpliwieniu z tego, że chociaż rozejm wzdłuż Kanału Sueskiego trwa już dwa i pół roku nie nastąpił żaden przełom w rozwiązaniu konfliktu bliskowschodniego. Egipcjanie — mówił Sadat — wierzyli, że rychło zakończy się wojna wietnamska i wówczas problemy Bliskiego Wschodu nabiorą większego znaczenia. Nowe bombardowania niweczą te nadzieje. Dlatego też Egipt wystąpi z nową inicjatywą, która przypomni o istnieniu bliskowschodniego problemu. Ale nie można wykluczać również wznowienia działań wojennych z Izraelem, którego, jak wyraził się, najbliższym sojusznikiem są Stany Zjednoczone.

Z kontynentu europejskiego ciekawym faktem jest zaproponowanie przez Brandta opozycji rządowej współdziałania w sprawach polityki międzynarodowej. Zdaniem kanclerza NRF, rozbieżności zdań nie powinny stanowić przeszkody dla szukania punktów zbieżnych. Zajmując takie stanowisko — koalicja rządowa wyraża gotowość podjęcia rzeczowej dyskusji z opozycją i uwzględnienia jej rzeczowych zastrzeżeń.

Propozycja ta spotkała się z pewnym pozytywnym odzewem ze strony grupy parlamentarnej CSU, a więc partii Straussa, co jest zupełnym nowum w sytuacji wewnętrznej NRF. Nie przeceniamy tego faktu, ale warto o nim wiedzieć.

W. SŁAWSKI

Z KRAJU

Minęły święta, które przebiegły bardzo spokojnie, minął szał sylwestrowych zabaw, zaczął się karnawał 1973 i nowy rok pracy. Kończąc rok ubiegły mówiliśmy ze spokojem: — pracowaliśmy dobrze. W „banku 20 miliardów" znalazło się więcej towarów niż zakładano, większość fabryk ukończyła realizację swoich zadań produkcyjnych znacznie wcześniej niż planowano. Na przykład fabryki przemysłu ciężkiego plan roczny wykonały na 9 dni przed końcem roku i dzięki temu dały dodatkowo wyrobów o wartości około 7 mld zł. Podobnie — przemysł lekki, którego dodatkowa produkcja osiągnęła wartość około 4,3 mld zł, a dodatkowe dostawy rynkowe — ok. 3 mld zł.

Pracowaliśmy dobrze, ale możemy jeszcze lepiej, bo pojęcie „dobrej roboty" staje się już nie tylko hasłem, ale potrzebą. Przykładem może być **III OGÓLNOPOLSKI KONKURS DOBREJ ROBOTY**, którego organizatorami są: **„TRYBUNA LUDU", TELEWIZJA i PKNiM.** Na konkurs ten zgłosiło się już przeszło 400 zakładów pracy. Najwięcej **— z przemysłu lekkiego.**

Dobra robota triumfuje jednak nie tylko w konkursach. Zagościła ona również na wielkich inwestycjach. Tak jak pracuje się na warszawskiej **„Trasie Łazienkowskiej"**, tak pracuje się też przy budowie Portu Północnego w Gdańsku, tak pracuje się w małej **Praszce**, przy budowie zakładów przemysłu motoryzacyjnego „POLMO", tak pracuje się przy budowie „Warty II" w **Działoszynie.** Nie znaczy to oczywiście, że wszystko już toczy się w naszym kraju bez zgrzytów i zahamowań. Nie znaczy to także, że na tych budowach nie zdarzają się chwilowe przestoje, że idealnie układa się współpraca podwykonawców, że wszystkie materiały i urządzenia przychodzą idealnie na czas. Nie, tak dobrze jeszcze nie jest i nie wiem, czy prędko będzie. Ale oznacza to również, że systematycznie doskonali się metody kierowania inwestycjami, że bierze się pod uwagę wszelkie możliwe zahamowania, w porę im przeciwdziała, że pracuje się jeszcze może nerwowo, ale już bez niepotrzebnej a tak szkodliwej szarpaniny, że od dawna poszukiwane metody współpracy inwestora, projektanta i wykonawcy zaczynają owocować.

Ta odrobina optymizmu, jaka widoczna jest w ocenie minionego roku nie może w niczym przeszkodzić i zahamować dalszych dążeń do jeszcze lepszej pracy. Pod koniec ubiegłego roku Prezydium Rządu omawiało metody planowania i zarządzania gospodarką narodową. Omawiano między innymi projekt **KOMPLEKSOWYCH ZASAD SYSTEMÓW EKONOMICZNO-FINANSOWYCH, które wprowadzi się w wybranych zjednoczeniach, kombinatach i przedsiębiorstwach inicjujących.**

Pozwoli to nie tylko dostosować te zasady do konkretnych warunków poszczególnych dziedzin wytwarzania a nawet poszczególnych zakładów pracy, ale **da możliwość wykorzystania różnorodnych doświadczeń poszczególnych zjednoczeń czy zakładów, także możliwość wprowadzenia własnych, nowych rozwiązań, wynikających z konkretnych doświadczeń poszczególnych przedsiębiorstw.**

W dziedzinie doskonalenia metody zarządzania odnotujmy też fakt z naszego — wydawniczego i prasowego podwórka. Od 1 stycznia 1973 roku działa już nowa organizacja, która powstała z połączenia trzech różnych do tej pory przedsiębiorstw: Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa", Spółdzielni Wydawniczej „Książka i Wiedza" oraz Zjednoczenia Upowszechnienia Prasy i Książki „Ruch". Nowa organizacja otrzymała nazwę: **„ROBOTNICZA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH".** Na jej czele stanął **Stanisław Mojkowski.**

Zmiany dokonywane w metodach zarządzania nie mogą zasłaniać występujących tu i ówdzie braków i niedociągnięć, bo nowe formy zarządzania mają stwarzać warunki dla dobrej pracy, mają jej sprzyjać, pozwalać na nowe inicjatywy i dalsze poszukiwania. Czy wszystko w tym względzie było dobre w ubiegłym roku?

Nie. Oto w trzech pierwszych kwartałach ubiegłego roku zgłoszono do **BIURA ZNAKU JAKOŚCI** 4,5 tys. wniosków. Biuro Znaku Jakości przyznało **„Q", „1"** lub znak kontrolny **2 855 wyrobom**, a w **918** przypadkach wydano decyzje **odmowne.** Część wniosków znajduje się dopiero w rozpatrywaniu. W tym samym czasie w Biurze Znaku Jakości dokonano niezbędnych analiz w stosunku do tych wyrobów, jakie już uprzednio otrzymały znak jakości. Badania takie przeprowadzono u **599 producentów**, którzy mają prawo oznaczania znakiem jakości 2 533 wyrobów. Po badaniach **26 producentom cofnięto prawo oznaczania znakiem jakości 71 wyrobów.** Na liście tych, którzy pogorszyli jakość swoich wyrobów znalazły się między innymi: **Szczecińskie Zakłady Piwowarsko-Słodownicze** za gorszą jakość piwa „Bałtyckie", **Stołeczne Zakłady Metalowe „Meos"** — za lampę stołową, **Pabianicka Fabryka Żarówek „POLAM"** — za żarówkę 75-watową, **Lubuska Fabryka Win** — za wino „Laur Lubuski".

Wiele złego można jeszcze powiedzieć o pracy przedsiębiorstw usługowych. W województwie łódzkim wśród pracowników przemysłu lekkiego przeprowadzono ankietę, której wyniki miały pokazać, w jaki sposób spędzają oni swój wolny czas. Okazało się, że **zaledwie 7 proc. ankietowanych dysponuje 2 godzinami czasu wolnego w ciągu dnia, a 70 proc. badanych stwierdziło, że nie ma możliwości wygospodarowania czasu na odpoczynek.** Czas wolny — nawet ten, jaki otrzymują dzięki wolnym sobotom i innym ulgom, na przykład z racji krótszego czasu pracy dla ludzi zatrudnionych w warunkach szkodliwych dla zdrowia — przeznaczają przede wszystkim na inne zajęcia, a nie na odpoczynek. Dlaczego tak się dzieje? Przede wszystkim dlatego, że ciągle jeszcze niedostateczny jest rozwój usług, głównie zaś tych, które mają ułatwiać prowadzenie gospodarstwa domowego. A pamiętajmy przecież, że w przemyśle lekkim pracują w większości kobiety, o których często mówi się, że pracują **na dwu etatach:** jednym w fabryce, drugim — w domu.

Proces modernizacji dokonujący się w przemyśle lekkim przyczyni się w znacznej mierze do poprawy warunków pracy. To jeśli chodzi o ten pierwszy etat. Z inicjatywy związków zawodowych będą się poprawiały warunki wypoczynku, a stopniowy postęp w budownictwie mieszkaniowym powoli przyczyni się i do poprawy warunków życia. Ale co z drugim etatem? Tutaj bez radykalnej zmiany, bez podniesienia usług na wyższy poziom niewiele się osiągnie. I przedsiębiorstwa usługowe nie mogą pozostawać w tyle, bo coraz bardziej stan ich wyposażenia, organizacja pracy, program usług znajdują się w centrum zainteresowania opinii publicznej. A przecież nie można ciągle tłumaczyć się tym, że nie ma lokali, że nie ma ludzi, że nie ma tego i owego. Wydaje się, że wiele można zrobić przy obecnym stanie posiadania, doskonaląc jedynie choćby tylko **organizację pracy.**

Mały przykład może niekoniecznie z dziedziny usług, ale do niej zbliżonej, bo też mającej służyć wypoczynkowi ludzi. Oto w Warszawie stwierdzono, że tuż przed świętami, a więc kiedy zaczęły się ferie dla młodzieży szkolnej, z 50 planowanych ślizgawek uruchomiono tylko... 7. I tak było nie tylko w Warszawie. A przecież w całym kraju z wypoczynku miało skorzystać 2 mln młodzieży szkolnej. Przeszło 200 tys. dzieci i młodzieży miało wypoczywać poza miejscem zamieszkania. **Jak minęły im ferie? Czy wszystko było należycie zorganizowane?**

Celowo podkreśliłam słowo: **organizacja**, bo moim zdaniem tu właśnie jest najczulszy punkt, tu tkwi źródło wielu naszych niedostatków i niedociągnięć.

WŁOD.

W POBLIŻU

▲ NA PLENARNYM POSIEDZENIU KOMITETU WOJEWÓDZKIEGO W ŁODZI, w obradach którego uczestniczył członek Biura Politycznego, sekretarz KC PZPR — **Edward BABIUCH,** omawiano dotychczasowe doświadczenia oraz dalsze zadania instancji partyjnych w polityce kadrowej. W referacie wprowadzającym do dyskusji I sekretarz KW PZPR w Łodzi — **Jerzy MUSZYŃSKI** szczególnie mocno podkreślił znaczenie kwalifikacji, które obok zaangażowania powinny być podstawowymi kryteriami w polityce kadrowej.

Plenum KW PZPR w Łodzi w związku z przejściem do innej pracy dotychczasowych sekretarzy komitetu: Leona Tomaszewskiego i Henryka Tomczaka, zwolniło ich z zajmowanych stanowisk oraz z funkcji członków Egzekutywy KW, a na ich miejsce wybrało: **Ludwika MAŹNICKIEGO i Tadeusza STASIAKA.** Ludwik Maźnicki był uprzednio prezesem WZGS w Łodzi. Jest zastępcą członka KC PZPR i członkiem Egzekutywy KW. Tadeusz Stasiak był I sekretarzem Komitetu Powiatowego PZPR w Kutnie.

▲ W 1973 roku WYBUDUJEMY W ŁODZI między innymi: prawie **29 tys.** izb, to jest o 9 proc. więcej niż w 1972 roku, **50 km** sieci wodociągowej, **20 km sieci** kanalizacyjnej, **14 km** ulic o ulepszonej nawierzchni, **50** sklepów, **9** zakładów gastronomicznych, **29** zakładów usługowych, **4** żłobki, **9** przedszkoli i **2** szkoły. Według szacunkowych danych do końca 1973 roku ma nas być w Łodzi **779 tysięcy.**

▲ NAGRODY DLA NAUCZYCIELI. Zgodnie z postanowieniami Karty Praw i Obowiązków Nauczycieli pod koniec ubiegłego roku Ministerstwo Oświaty i Wychowania przyznało 208 łódzkim nauczycielom nagrody za ich osiągnięcia pedagogiczne. Podobne nagrody otrzymali też nauczyciele województwa łódzkiego. Takie nagrody MOiW będzie przyznawać co roku.

▲ MILIARDER Z TOMASZOWA MAZOWIECKIEGO. Jest nim „TOMTEX" — Tomaszowskie Zakłady Przemysłu Wełnianego. W ubiegłym roku załoga „Tomtexu" dała krajowi produkcję o wartości przekraczającej miliard zł. Dzięki wcześniejszemu wykonaniu planowanych zadań produkcyjnych „Tomtex" dał dodatkowo 190 tys. m. tkanin.

„Tomtex" jest drugą tomaszowską fabryką, której produkcja pod względem wartości przekracza miliard zł. Pierwszym tomaszowskim miliarderem jest **„Wistom".**

„Tomtex" nadal rozbudowuje się. Obecnie Łódzkie Przedsiębiorstwo Remontowo-Budowlane Przemysłu Lekkiego buduje dla załogi „Tomtexu" nowe pomieszczenia socjalne.

▲ KOLUSZKI są szeroko znane podróżnym PKP. Któż bowiem nie przejeżdżał przez Koluszki, ale mało kto w Koluszkach wysiadał, aby poznać miasto położone po obu stronach szyn kolejowych. A dzieją się tu takie same sprawy jak gdzie indziej. Od lat na przykład buduje się Dom Kultury. Ostatnio dzięki wysiłkom MRN w Koluszkach i koluszkowskiej instancji ZZ Kolejarzy budowa Domu Kultury dobiegnie końca. Będzie on już gotowy w pierwszym kwartale bieżącego roku. W Koluszkowskim Domu Kultury będzie sala teatralna, która będzie mogła przyjmować zespół Teatru Ziemi Łódzkiej oraz da możliwość występowania własnym zespołom artystycznym.

▲ TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ dał premierę sztuki Anatola Łunaczarskiego „Don Kichot Wyzwolony". Sztukę reżyserował Jan Perz. Scenografia — Zenobiusza Strzeleckiego, muzyka — Leszka Oriewicza.

▲ ZESPÓŁ TEATRU IM. STEFANA JARACZA w Łodzi, który z okazji 50 rocznicy ZSRR przygotował montaż poetycki pt. „Lubimy stąpać po ziemi", wystąpił w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w Warszawie. Widowisko oglądał również członek Biura Politycznego, minister spraw zagranicznych — Stefan OLSZOWSKI. Spektakl spotkał się z gorącym i życzliwym przyjęciem widowni.

▲ „REGION ŁÓDZKI" — taki tytuł nosi drugi już tom studiów i materiałów przygotowanych przez Radę Naukową, działającą przy WRN w Łodzi. W tomie tym o problemach rozwoju regionu łódzkiego, o sprawach rolnictwa, gospodarki komunalnej i warunkach życia piszą między innymi: prof. dr **T. Olszewski,** doc. dr hab. **I. Iwińska** prof. dr **Sz. Pieniążek,** dr **St. Zięba,** dr **K. Krassowski,** dr **J. Marczak,** prof. dr **M. Nowak,** dr **S. Hejmanowski,** doc. dr **J. Samujiło,** dr **H. Retkiewicz** i mgr inż. **R. Owsiak.**

▲ POŻAR NA WSI. W ostatnim tygodniu ubiegłego roku wybuchły dwa wielkie pożary we wsiach województwa łódzkiego. We wsi **Grabowiny** w powiecie sieradzkim — jak się sądzi na podstawie pierwszych doniesień — od iskry z komina zapaliły się zabudowania, a następnie 5 stodół i 7 obór. W ogniu zginęły konie, bydło, spaliły się też maszyny rolnicze.

We wsi **Wola Zalewska** koło Zygier od „zimnego ognia", którym bawił się chłopiec, spłonęły zabudowania gospodarskie i 6 stodół ze zbiorami.

Interweniowały liczne oddziały straży pożarnych. Pogorzelcom udzielono wszelkiej niezbędnej pomocy.

Pożar na wsi ciągle jeszcze jest wielką groźbą, ale niewiele robi się, aby mu zapobiegać, mimo licznych kontroli, apeli i wyjaśnień. Lekkomyślność i niedbalstwo są nie tylko przyczyną wielu strat, ale grożą też życiu ludzkiemu.

▲ OFICJALNIE NIE MA JESZCZE ZIMY — powiedziano reporterowi „Expressu Ilustrowanego" w Arturówku, choć staw zamarznięty, a ludzie ślizgają się po lodzie. Reporterski zwiad „Expressu Ilustrowanego" pokazał, że łódzkie ośrodki zimowego wypoczynku: **Arturówek, Ruda, Stawy Jana, Nowa Gdynia** pod Zgierzem nie są przygotowane do przyjęcia amatorów ślizgawki i wypoczynku na świeżym powietrzu. Ludzie chcą ślizgać się, ale nie mogą wypożyczyć łyżew. Pragną rozgrzać się gorącą herbatą, a tej nie można dostać lub można, ale w takich godzinach, kiedy już nikogo nie ma na lodowisku.

Na konto „Expressu Ilustrowanego" trzeba jednak zaliczyć to, że nie uwierzył samym tylko zapewnieniom i zapowiedziom organizatorów, ale postanowił je sprawdzić. I co? I potwierdziła się stara prawda, że najpierw wiele się obiecuje, a później mało z tego się robi. Może więc mniej optymizmu w chwaleniu się, czego to my nie zrobimy, a więcej rzetelnej pracy. I to nie tylko w turystyce.

▲ SPORTU BLASKI, SPORTU CIENIE, czyli wypowiedź przewodniczącego ŁKKFiT — **Wacława Zatkego** na łamach „Dziennika Łódzkiego". O blaskach, czyli o sukcesach nie będę wspominał. Kibice różnych dyscyplin sportowych dobrze je znają. Co innego cienie.

„Do dyscyplin, które nie tylko nie mają żadnych osiągnięć — stwierdził W. Zatke — **a nawet mocno „obniżyły loty", muszę zaliczyć: boks, szermierkę, gimnastykę, niektóre gry zespołowe, a także lekkoatletykę. Podniesienie ich na wyższy poziom jest jednym z najważniejszych zadań, stojących przed władzami sportowymi i poszczególnymi klubami w przyszłym roku".**

Słuszne to i ważne, ale ważnym byłoby też swierdzenie przyczyn, dla których te dyscypliny „obniżyły loty". I chyba w tym roku przyczynom tym trzeba będzie też poświęcić trochę więcej miejsca i uwagi.

▲ „RUBINOWA HORTENSJA" po raz dziewiąty, ZW ZMS, redakcja „Gazety Ziemi Piotrkowskiej" i Huta Szkła Gospodarczego „Hortensja" w Piotrkowie Tryb. ogłosiły IX Konkurs Literacki o „Rubinową Hortensję". Szczegółowych informacji udzielają: **Wydział Propagandy ZW ZMS w Łodzi** (al. Kościuszki 111/113, tel 657-32) i **redakcja „Gazety Ziemi Piotrkowskiej"** (Piotrków Trybunalski, ul. Słowackiego 16, tel. 32-77).

M. RODAK

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), KAROL BADZIAK, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), MAREK WAWRZKIEWICZ, JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji).

WAŃKOWICZ

Niedawno gościł w Łodzi Melchior Wańkowicz. Korzystając z tej okazji przeprowadziliśmy rozmowę ze znanym pisarzem, w której opowiada on o swoich spotkaniach z czytelnikami i o książkach, jakie przygotowuje.

— Nie widzieliśmy Pana w Łodzi od trzynastu lat, bodaj od pierwszego roku pobytu Pana w kraju. Zadomowił się Pan na dobre i może dlatego z reguły nie przyjmuje Pan zaproszeń na wieczory autorskie?

— Rzeczywiście, nie przyjmuję zaproszeń. Kiedy byłem na Zjeździe Literatów w Łodzi, uchyliłem się od spotkań. Po prostu uważam, że wszystko, co mogę powiedzieć słuchaczom, mogą odbierać czytelnicy w książkach, z którymi mam tyle kłopotu, że jestem bardzo zazdrosny o czas. Ale o ile niewiele poza książkami mogę dać w odczycie, o tyle dla mnie każde spotkanie jest nad wyraz cenne. Napisano kiedyś, że mam radar w sobie, rejestrujący każde drgnienie na sali. Istotnie, zdaje mi się, że kiedy przemawiam, widzę każdą twarz, notuję każdy odruch, czasem i odruch niechęci, bo nie zawsze mówię rzeczy przyjemne.

— W jednej z telewizyjnych audycji: „Jacy jesteśmy Polacy" — wspomniał Pan m. in. o miłym powitaniu, jakie zgotowała Panu Łódź, gdy przyjechał Pan tutaj z odczytem w roku 1959.

— Dobrze pamiętam. Byłem bardzo ujęty serdecznością, gościnnością i dużym staraniem, jakie włożyli w urządzenie mego wieczoru pracownicy Łódzkiego Domu Kultury z panią Krystyną Lewicką na czele

— Każde miasto kojarzy się każdemu z nas z czymś, z kimś... Gdy Pan usłyszy „Łódź" — co wtedy Panu się nasuwa?

— Łódź mi się kojarzy z dwoma całkiem innymi rodzajami wzruszeń.

Pierwsze — to moje najmłodsze lata. Jako sekretarz generalny Sekcji Koronnej trójzaborowej organizacji „Przyszłość" („Pet", której wyższym szczeblem był „Zet" — Związek) przyjeżdżałem do Łodzi na inspekcję środowiska łódzkiego, na którego czele stali organizatorzy strajku szkolnego: Bolesław Fichna, ciężko ranny w bitwie Legionów pod Krzywopłotami, przewodniczący Rady Miejskiej w Łodzi w 1926—1927, adwokat, poseł, senator, zginął w Buchenwaldzie oraz Ludwik Waszkiewicz, delegat na konferencję pokojową w Rydze.

Drugi rodzaj wzruszeń — to odbierany dosyć niezwykłą drogą zespół informacji o latach 1905—1909 w Łodzi, zbieranych skrzętnie w Hoover Institute, Congressional Library itd. w USA. Zużytkowałem to w rozdziale o Łodzi w książce „Tworzywo", której szereg wznowień miało miejsce w Polsce.

— I znów zawitał Pan do Łodzi z odczytem o majorze Dobrzańskim-Hubalu.

— Wieczór poświęcony Hubalczykom, to było zdarzenie zupełnie wyjątkowe. To jest już legenda, która przechodzi do historii i dlatego spojrzenie na uczestników, którzy zejdą z widowni narodowej, skonfrontowanie ich z tym, co po nich zostanie, jest głębokim przeżyciem dla każdego z nas.

Odmówiłem przecięcia wstęgi wystawy Hubalczyków i odmówiłbym zawsze, gdyby żył jeszcze którykolwiek z nich.

Wobec tych ludzi moje przemówienie było rzeczą drugorzędną. Chciałem mówić krócej, żeby nie naruszać proporcji pomiędzy faktem i mówieniem o fakcie.

Skoro mi jednak wyznaczono czas dłuższy, spróbowałem spojrzeć na ten fakt już oczami historii. W sto lat po powstaniu 1863 roku do dziś trwają dyskusje, motywowane z obu stron rzeczowo — czy powstanie to było potrzebne.

Ta sama dyskusja nad czynem Hubala, który uchylił się od posłuchania rozkazu zaprzestania walki, wydanego przez władze ZWZ, rozgorzała natychmiast po ukazaniu się pierwszej publikacji i na pewno będzie się rozrastać, formując się w cegiełkę przy budowie historiozofii narodowej.

Jakże piękne było przemówienie adiutanta Hubala, Dołęgi-Ossowskiego. To był jeden z tych, który wraz z Hubalem poszedł walczyć dalej z jakże uszczuploną liczbą ludzi. Jakiż żal musiał drążyć wówczas ich serca! Jakże szlachetnie dźwięczą na tym tle jego słowa pełne uznania dla tych, z którymi wówczas się rozłączył, a którzy dalej poszli żołnierską drogą pełnej ofiary ze swego życia.

Oto są dwie postawy. Jakże nędznie wyglądają przy tych dwóch uczciwych, żołnierskich postawach łatwe wydziwiania na bohaterszczyznę.

Skorzystałem z tego wieczoru, aby mówić o powstawaniu jednolitego typu Polaka. Jesteśmy świadkami zlewania się dwóch nurtów kultury polskiej. Jeden w spadku po kulturze szlacheckiej, reprezentujący romantyzm polski, tak niezbędny dla życia samowartości narodu. Drugi — to wlewający się w polskie myślenie dorobek awansu chłopskiego, wnoszącego w życie narodu tzw. chłopski rozum, racjonalizmem podbudowujący poszlacheckie zrywy.

Oba te pierwiastki są cenne i dlatego, kiedy widzimy szlachetną twarz poległego Hubala, rzuconego na wóz z gnojem, pochylamy głowy i mówimy: „Ciszej nad tą trumną".

— Wygłosił Pan też drugi odczyt: „O książce".

— Odczyt „O książce" wypadł dla mnie niespodziewanie. Początkowo bowiem miałem mieć tylko jeden — z powodu otwarcia wystawy Hubalczyków. Na wstępie poinformowano mnie, że ten drugi — będzie to odczyt zamknięty, spodziewałem się spotkać 20—30 osób, związanych zawodowo z życiem książki.

Okazało się, że sala była wypełniona po brzegi, część w ogóle się nie dostała. A jednak odbiór tej sali, nie zważając na to, że temat odczytu był zawężony, wzruszył mnie do głębi. I odczyt i pytania po nim zlały się w jeden ton wspólny: mówiono o książce jako o chlebie powszednim, jako o czynniku współtworzącym życie człowieka.

— Przy okazji dowiedzieliśmy się, że ukazuje się nowa Pana książka. Jest to „Karafka La Fontaine'a", studium o pisarstwie. Ale jest to dopiero tom pierwszy. Kiedy otrzymamy drugi?

— Pierwszy tom zawiera dwie części: Praźródła i Fundamenta.

Część pierwsza drugiego tomu jest już napisana, jej tytuł: Zasadzki. Zawiera m. in. Chciejstwo pisarzy, czytelników, władz. Relatywizm. Zamylenia. Plagiat. Lapsusy. Blaga. Głupota. Przeinwestowanie. Kompleksy. Schizofrenia, Paranoja. Mitomania. Krytyka. Cenzura.

Część ostatnia, jeszcze nie napisana, to: Warsztat. Są tu m. in.: Sprawy podstawowe: Geny. Praca. Natchnienie. Byt materialny. Pamięć. Pomoce: Resarch. Indeksy. Kartoteka. Segregatory. Kompendia. Pomocnicy. Sprawności: Języki. Stalówka. Maszyna do pisania. Magnetofon. Fotografowanie. Samochód. Szkoły pisania. Adiustatorzy. Korekty. Znaki pisarskie. Słowo mówione. Reklama. W świat! (szanse naszej literatury).

— Ostatnio Krzysztof Kąkolewski publikuje w „Literaturze" wywiad-rzekę z Panem. A co inni piszą o Panu?

— W roku 1972 ukazały się o mnie broszury w języku polskim, angielskim i francuskim, w 1973 roku „Czytelnik" wydaje właśnie książkę Krzysztofa Kąkolewskiego i PAX obszerną monografię, poświęconą mojej twórczości, pióra Mieczysława Kurzyny. Ale wszak i Pani pisze na mój temat pracę magisterską.

— Na Uniwersytecie Łódzkim prawie co roku powstaje praca magisterska, poświęcona Pana twórczości, jest więc Pan ceniony i uznawany za wybitnego pisarza współczesnego.

— Cieszy mnie to bardzo, choć o sobie mam własne, skromne zdanie. Pisała mi niedawno prof. dr Stefania Skwarczyńska o projektowanym przez doc. T. Cieślikowską otwarciu studium doktoranckiego na temat mojej twórczości.

— Jeżeli dodać do tego dziewięć półgodzinnych audycji Pana w telewizji na temat „Jacy jesteśmy Polacy", liczne przemówienia w radio, dwa słuchowiska o Panu oraz liczne artykuły oraz wywiady z Panem, to należy powiedzieć, że jest Pan w pełni pracy.

Widzi Pani, przodkowie chwalili sobie śmierć w kulbace. Staram się dreptać za nimi.

Rozmawiała: ALEKSANDRA ZIÓŁKOWSKA

WYCIECZKA

Szanowna Redakcjo!

Piszemy do Ciebie, pełni żalu i rozczarowania z powodu źle zorganizowanej wycieczki przez „Gromadę" do NRD w dniach 4. XI. 72 r. do 7. XI. 72 r. dla pracowników Spółdzielni Inwalidów im. Kowalowa w Łodzi.

Zdaniem naszym jest, że instytucja ta została powołana do organizowania wycieczek zagranicznych po to, aby zapoznać wycieczkowiczów z życiem kulturalnym danego kraju, pokazać najciekawsze zabytki architektury i sztuki.

Ponieważ większość z uczestników wycieczki byli inwalidzi o różnych schorzeniach (w tym 11 głuchoniemych) noclegi miały być blisko granicy — w Słubicach, natomiast z niewiadomych przyczyn zostały przeniesione do Ośla Lubuskiego oddalonego od granicy o 40 minut jazdy autobusem.

Tam w restauracji przygotowywano dla nas pożywienie, z którym też nie było najlepiej.

Dnia 5. XI. 1972 r. po śniadaniu i otrzymaniu suchego prowiantu zawieziono nas do Poczdamu.

W Poczdamie zwiedzanie nasze ograniczyło się do obejrzenia siedziby, w której podpisano traktat Poczdamski i na ostre żądanie wycieczkowiczów zaprowadzono nas do placu Sansouci. Był to piękny zabytek, przewodniczka mówiła po niemiecku, niestety nie miał nam kto przetłumaczyć, gdyż piloci z „Gromady" nie znali języka niemieckiego i co gorsze nie bardzo znali miasta, które przyszło nam zwiedzać.

Po męczącej podróży z Poczdamu do Ośla Lubuskiego nie oczekiwano nas z obiadem, a kierowniczka restauracji oświadczyła, ponieważ jesteście spóźnieni (w drodze zepsuł się nam autobus) na oznaczoną godzinę, możecie otrzymać tylko suchą kolację, jednocześnie zaznaczając, że na drugi dzień nie otrzymamy i suchego prowiantu, gdyż „Gromada" przysyła tyle ludzi, których restauracja nie jest w stanie wyżywić.

Na drugi dzień — 6. XI. 1972 r. suchego prowiantu nam nie dano. Kupić też nie było gdzie. Zawieziono nas do Berlina, gdzie piloci zaprowadzili wycieczkę do obejrzenia Pomnika Zwycięstwa Armii Radzieckiej. Następnie autobusy zawiozły nas na plac Aleksandra, skąd każdy udał się w swoją stronę. Nie pomogły perswazje, aby nas poprowadzono coś zobaczyć, aby powoli przewieziono autobusami, ulicami miasta w celu zobaczenia chociaż ulic głównych, wprawdzie pilot „Samu" obiecał że zawiozą nas obejrzeć bramę Brandeburską po godzinie 16.00, na którą to godzinę wyznaczono nam zbiórkę przy autobusach, ale i tego nie uczynili.

I tak, pozostawieni sami sobie, nie znając języka, nie znając miasta, grupkami wycieczka rozeszła się po najbliższych sklepach, bo i co było robić.

Natomiast piloci, z zabraną z Ośla obcą, osobą, nie należącą do wycieczki, ulotnili się w nieznanym kierunku i wrócili dopiero na godzinę 16,00 z zakupami.

Nikt się nie zatroszczył, jak kto sobie radził, część inwalidów brała taksówki, aby obejrzeć miasto, ale większa część inwalidów, w tym i 11 osób głuchoniemych kręciło się po placu Aleksandra.

Na przykład — szukało się godzinami toalety, lub gdzie zjeść i napić się, bo nikt o to nie zatroszczył się, wiedząc, że jedzenia nam nie dano na drogę. Po co jechać tyle kilometrów, pytamy, aby w rezultacie nic nie zobaczyć. Szczytem niezadowolenia było to, że Kierownik Wycieczki kazał nam zebrać po 15 zł od osoby, za to obiecano nam, że kierowcy autobusów podwiozą nas obejrzeć obiekty poza wyznaczonymi godzinami pracy.

Kierowcy oczywiście słowa nie dotrzymali, ponieważ jak się okazało, łapówka była za mała.

Gdy wróciliśmy do Łodzi, kierowcy i tu nie okazali minimum dobrej woli, wysadzając ludzi między przystankami tramwajowymi.

Reasumując powyższe, dochodzimy do wniosku, że pieniądze wydane na wycieczkę poszły na marne.

Robotnikowi, za źle wykonaną pracę nie płaci się, produkt wytwarzany idzie do braków, więc za co mamy płacić „Gromadzie", która nie wykonała zamówienia Spółdzielni, zgodnie z programem wycieczki.

Zapytujemy, czy „Gromada" chce tylko „nabijać ludzi w butelkę", którzy chcieli coś zwiedzić za własne, ciężko zapracowane pieniądze. Nikt nie pomyślał, że w ten sposób zorganizowana wycieczka ograniczyła się tylko do jazdy w autobusie, co można by uczynić i w Polsce. Nasza skarga niech będzie ostrzeżeniem dla Kierownictwa „Gromady", aby w przyszłości nie organizowali podobnych wycieczek i nie narażali ludzi na daremną stratę czasu, zdrowia, nerwów i pieniędzy.

Prosimy Redakcję o niepodawanie nazwisk.
(10 podpisów)

Na korytarzu przed drzwiami, na których wisi kartka „Komisja do spraw zatrudnienia" siedzi kilka osób. Pierwszy z lewej, czyli ostatni w kolejce, wyróżniający się starannym i eleganckim ubraniem, nerwowo czyszczący paznokcie, przycupnął „Aktor". Ten czterdziestolatek przepracował w PRL dwa lata. Od 25 lat nie pracuje. Przystojny i zadbany, gdy go ktoś urzędowo zapyta z czego żyje odpowiada z uśmiechem: — Jestem na utrzymaniu przyjaciółki. Ale pytający i odpowiadający — wiedzą, że to przemyślana odpowiedź do protokółu.

Naprawdę „Aktor" handluje złotem i dewizami. Nie bez wpadek. Któregoś dnia — wywiadowca MO spotkał „Aktora" na klatce schodowej jednej z łódzkich kamienic. Nie było to przypadkowe spotkanie. Milicja wiedziała, że tego dnia i w tym domu dokonana zostanie wielka nielegalna transakcja. Ujrzawszy milicjanta — „Aktor" rzucił się do ucieczki. Schwytano go na ostatnim, czwartym piętrze. Na półpiętrze milicjanci znaleźli czarną teczkę. — To nie moja — twierdził „Aktor". Milicjanci obeszli lokatorów — nikt z nich teczki również nie zgubił.

Kiedy teczkę otworzono — zamigotało złoto, dolary, pięćsetki. Był w niej majątek wartości przeszło ćwierć miliona złotych.

W tym 25-leciu ma „Aktor" kilka takich czarnych dni. Pewno koszmarnymi snami prześladują go po nocach.

CUDZYM KOSZTEM

ADAM LEWASZKIEWICZ

Obok niego siedzi „Szybki Wacek". Jego świat jest ograniczony skrzynkami z piwem. „Szybki Wacek" jest piwoszem. Gdy delektuje się nektarem, a czyni to od rana do wieczora, zapomina o dwuletnim dziecku, żonie i o tym, że już od dwóch lat „maluje w parku sufit". „Szybki Wacek" — szybki, bo odstawia tylko na chwilę pełen kufel piwa w pijalni — sięgając po papierosa.

Dalej siedzi „Blondyn". Nikt nie ma takich zręcznych grabów. Jemu wystarczają dwie godziny, aby wydusić z frajerów pare czerwieńców. Skrzynka, kawałek gazety i talia kart — to jego warsztat „pracy" na Czerwonym Rynku. Jest niespokojny. I ma do tego powody. Dwa razy tej jesieni wymierzyło mu kolegium po 4.500 zł. Nie lubi siedzieć. Uiścił.

Obok niego „Koń". Ten nie zastanawia się nad życiem. Nie ma okazji, jest prawie zawsze pijany. „Koń", bo ma końskie zdrowie. W swoim 30-letnim życiu nie był jeszcze u lekarza. Te dwadzieścia lub trzydzieści złotych na patykiem pisane wypracuje, popychając wózek z węglem.

Niemiłosiernie suszy „Gnata". Ledwo co wrócił z Sikawy, a już otrzymał „powiastkę" na komisję. Nawet nie zdążył dobrze rozejrzeć się po mieszkaniu i policzyć sprzętów. A niewiele ich w mieszkaniu „Gnata".

W tej śmietance znalazł się Stanisław K., rocznik 1951, krótkotrwały pracownik „Polmo", Dzierżyńskiego, „Przemysłówki", Dubois, i jeszcze z 10 innych łódzkich zakładów.. Od półtora roku nie pracujący — żyjący z renty mamusi. Uczciwie mówiąc — czuje się w tym gronie dość niewyraźnie.

Bez pseudonimu jest 35-letni Władysław K. z zawodu ślusarz, ojciec dwojga dzieci, cieszy się dobrą opinią w miejscu zamieszkania (panie władzo, jak on kocha dzieci — nie do wiary). Od trzech lat żyje z dwutysięcznej pensji żony. Poza opieką nad dziećmi — coś musi robić — nie ulega wątpliwości. Sąsiedzi policzyli — żona ma trzy peruki, modne palto, on skórę, dzieciska ubrane jak trzeba, buty węgierskie, takie za 650 zł. Z pensji tego w tym kwartale na pewno nie kupili. A butelki wyrzuca po zagranicznych trunkach. Coś robi, ale co? Nie musi to być legalne, bo się kryje, pytany odburkuje.

W korytarzu pełno dymu z „Carmenów" i „Sportów". Atmosfera nerwowa i napięta. Uchylają się drzwi. Wchodzi „Piękna Wanda". „Koń" i „Gnat" zrywają się z miejsc.

— No i co?

— Do MPK skierowali — odpowiada bezzębnym uśmiechem.

PRZED KOMISJĄ

Z tej drugiej strony drzwi pracuje społeczna dzielnicowa komisja do spraw zatrudnienia osób uchylających się od pracy. Jest pani prokurator, major z KD MO — Polesie, przedstawicielka Ligi Kobiet, przedstawiciel dzielnicowego sztabu wojskowego, DK FJN, kierownik i niezmordowana pani Ola z Wydziału Zatrudnienia Prezydium RN m. Łodzi. Komisji przewodniczy energiczny kierownik Urzędu Spraw Wewnętrznych na Polesiu, mgr Jasiński.

Z tej drugiej strony stołu 35-letni porządnie ubrany mężczyzna. Niegdyś, przed siedmiu laty, groźny włamywacz, czterokrotnie karany za tego typu przestępstwa.

— Pan jest żonaty?

— Tak.

— Dzieci są?

— Jedno, trzyletnie.

— Z czego pan żyje?

— Pracuję.

— A milicja skierowała pana do nas jako nie pracującego i to od kilkunastu miesięcy. Prosimy o zaświadczenie z pracy.

— Nie mogę przedstawić.

— Dlaczego?

— Bo pracuję u prywatnego kaletnika, a on nie chce mnie ubezpieczyć.

— Proszę zatem podać adres miejsca pracy.

— Nie mogę.

— W takim razie jest pan dla nas osobą nie pracującą, żyjącą nie wiadomo z czego, a raczej, znając pańskie skłonności, wiadomo z czego. Chce pan podjąć pracę w zakładzie uspołecznionym czy woli pan, aby przy każdym włamaniu milicja „wpadała" zobaczyć, co tam u pana słychać i widać? A dziecko coraz większe, coraz większy wstyd.

— Będę pracował.

— Jaki pan ma zawód?

— Ślusarz, ale chcę pracować tylko jako kaletnik.

— Możemy pana zatrudnić tylko zgodnie z kwalifikacjami.

— Ale ślusarki uczyłem się w więzieniu, nic nie umiem.

— Co na to koleżanka z Zatrudnienia?

— Spróbuję się porozumieć z zakładami.

— Niech pan przyjdzie za cztery dni do pokoju numer dziewięć na parterze.

Przed komisją już ktoś inny. Podaje imię, nazwisko i adres.

— Pan pracuje?

— Tak, proszę, oto zaświadczenie.

— Podjął pan pracę 24 października tego roku po dwóch latach zbijania bąków. Dlaczego?

— Pisali w gazetach, że będzie nalot na nie pracujących, to nie czekając na wezwanie zgłosiłem się do pracy.

— To dobrze świadczy o panu, ale proszę pamiętać, że jest pan w zasięgu naszego zainteresowania i przez kilkanaście miesięcy będziemy się panem interesować.

I już ktoś inny, biednie ubrana kobieta.

— Nie wiem, dlaczego mnie wezwano — mówi już od drzwi. — Ja pracuję.

— ADM panią wytypował jako nie pracującą, musiała mieć powody.

— Pewnie dlatego, że nie płacę komornego.

— A dlaczego pani nie płaci.

— Nie starcza. Zarabiam 1.200 zł, a na troje osób to mało.

— Na troje? Proszę powiedzieć kto z panią mieszka.

— Mąż i syn.

— Mąż nie ma renty?

— Nie.

— A co robi syn?

— Nic nie robi.

— Ile ma lat?

— Dwadzieścia.

— To jak to jest. Mąż chory, do garnka nie ma co włożyć, komornego pani nie płaci, a zdrowy dwudziestoletni chłopak walkoni się w domu. Jak go pani wychowała? Pani uważa, że tak powinno być? My już z nim porozmawiamy.

Nie sposób zrelacjonować wszystkich rozmów, jakie tego dnia przeprowadziła społeczna komisja dla niebieskich ptaków z Polesia. Bilans tego dnia — soboty 18 listopada ub.r. był następujący: wezwano 18 osób, zgłosiło się 9 plus 2 osoby z innych dzielnic. Milicja doprowadziła 4 nierobów z aresztu, takich co to mieli się stawić na poprzednie komisje, ale choć nie pracują nie znaleźli czasu.

PIONIERSKI AKT PRAWNY

Dzielnicowe komisje do spraw zatrudnienia osób uchylających się od pracy — powołane zostały uchwałą Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi z dn. 8 VIII 1972 r. Jest to w kraju pionierski akt prawny, dotyczący zapobiegania i zmniejszania rozmiarów pasożytnictwa społecznego.

Problem pasożytnictwa społecznego usiłowano w Łodzi, a następnie w innych miastach na wzór łódzki, rozwiązać już przed kilku laty. Z inicjatywy KŁ PZPR powołano wtedy komisje społeczne. Przeprowadzono rozmowy z wałkoniami, usiłowano wpłynąć na zmianę trybu ich życia. Wiele osób, bo około 3.000 skorzystało wtedy z danej im szansy, wiele związało się na trwałe z zakładami pracy. Komisje pracowały do chwili ogłoszenia ostatniej amnestii.

Opierając się na tych doświadczeniach opracowano doskonalszy, administracyjnie system zatrudnienia. Uchwała Prezydium RN m. Łodzi zobowiązuje zakłady pracy do informowania komisji o przebiegu pracy osób skierowanych przez komisję, do natychmiastowego zawiadamiania w przypadku porzucenia pracy.

Zorganizowano miejską kartotekę osób uchylających się od pracy. Tu grupuje się informacje o nierobach, a przekazują je MO, ADM, Poradnie Przeciwalkoholowe, Urzędy Spraw Wewnętrznych, Izba Wytrzeźwień, komitety blokowe itp. Skreślenie z ewidencji nastąpi dopiero po roku nieprzerwanej pracy.

Młodych, kierują komisje do takich zakładów pracy, w których mogą się przyuczyć lub nauczyć zawodu, a więc dają szansę zdobycia społecznej pozycji, miejsca w życiu. Jest w tym działaniu głęboka myśl, dalekie spojrzenie, społeczna troska o ich los.

Trzeba bowiem wiedzieć, że 60 procent osób karanych przez sądy za przestępstwa kryminalne, za rozboje, włamania; kradzieże, wywodzi się ze środowiska społecznych pasożytów.

Każdy niemal ma swój własny punkt widzenia na rozwiązanie kwestii społecznego marginesu. Wielu domaga się dla pasożytów twardego paragrafu. Czy kara jest jedynym i najskuteczniejszym, najlepszym lekarstwem na wszystkich niepracujących?. Mam wątpliwości.

Nikt nie może jednak kwestionować faktu, że przyszłość skutecznej walki z przestępczością, wiążącym się z nim ściśle pasożytnictwem społecznym, należy do profilaktyki. Niektórzy twierdzą, że pasożytnictwo społeczne to w ogóle problem, którego uregulowanie jest niemożliwe tylko odpowiednio surową literą prawa.

Nie jesteśmy znów tacy bezradni. Od trzech tygodni codziennie, nawet w niedzielę, urzęduje w łódzkiej Izbie Wytrzeźwień Kolegium do Spraw Wykroczeń. Nie ma co ukrywać, specjalnie uczulone na nierobów. Z reguły pijany popełnia wykroczenie. Bladym więc rankiem, bywalec Izby Wytrzeźwień wpada w objęcia Kodeksu Wykroczeń. Do 20 listopada ub.r. — 70 nierobów przeszło już przez tryby postępowania przyśpieszonego. Orzeczenie z reguły brzmi — trzy miesiące ograniczenia wolności, skierowanie do pracy z 10- lub 20-procentowym potrąceniem zarobków na cele społeczne.

KIM SĄ I DLACZEGO NIE PRACUJĄ?

Byłem niemal na wszystkich posiedzeniach dzielnicowych społecznych komisji do spraw zatrudnienia. Najbardziej interesuje mnie socjologiczna strona tego zagadnienia, znalezienie odpowiedzi na pytanie dlaczego nie pracują? Wokół tej sprawy narosło wiele mitów. 150-osobową grupę nie pracujących, która przewinęła się do tej pory przed komisjami, podzieliłbym z grubsza na kilka kategorii.

Najliczniejszą stanowią ludzie o słabym charakterze, którym „nie powiodło się" w życiu, którzy z tym niepowodzeniem, trudnościami nie potrafili walczyć. Poszli więc linią najmniejszego wysiłku. W zasadzie chcieliby prowadzić normalne i społecznie akceptowane życie. Wskazanie miejsca pracy, ułatwienie w jej otrzymaniu, czy też skierowanie do szkoły, przyjmują z ulgą i zadowoleniem.

Inna grupa to ludzie nie mający dostatecznie ugruntowanych nawyków systematycznej pracy. Podejmują ją i rzucają, gdyż nie mogą zmusić się do codziennego regularnego wysiłku. Niektórzy z tej grupy, ograniczeni umysłowo, nie potrafią przewidzieć skutków takiego postępowania. Inni są zdania, że nie warto pracować, gdyż nielegalne lub półlegalne zdobywanie pieniędzy wymaga mniejszego wysiłku.

Trzecią, najtrudniejszą do „rozgryzienia" grupę stanowią ludzie, którzy nie pracują „dla zasady". Żyją na koszt rodziny — żony, matki, przyjaciółki, albo mają nielegalne źródła dochodu. Zarówno jedną jak i drugą sytuację uważają za normalną. Nie uznają żadnych z obowiązujących wartości. W stosunku do nich zawodzą wszelkie argumenty. Może ich przekonać tylko przymus.

Z TARCZĄ, CZY NA TARCZY?

Czy podjęte w Łodzi przedsięwzięcia mają szanse powodzenia? — jest to pytanie ważne, choć różne padają na nie odpowiedzi. Są i tacy, którzy nazywają cały społeczny wysiłek syzyfową pracą.

Społeczny margines — jest praktycznie problemem nie do rozwiązania. Można tylko dzięki wysiłkom społecznym znacznie ograniczyć jego rozmiary. Wbrew malkontentom są już wyraźne i namacalne sukcesy w walce z tym zjawiskiem — składają się na nie: 150 osób skierowanych do pracy i fakt, że co najmniej drugie tyle nie pracujących podjęło pracę po ogłoszeniu Uchwały Prezydium RN m. Łodzi. Trzysta osób to już jest kapitał, z którym można przystąpić do dalszej gry o przyszłość wielu ludzi, szczególnie młodych, nawet wbrew ich woli.

Z góry założyć można, że ludzie podobni „Aktorowi" nie podejmą pracy, że „Gnat" tylko wtedy będzie pracował, jak zostanie zmuszony do leczenia odwykowego. Dlatego ważne jest, aby skierowanych do pracy w zakładach pracy bacznie, ale życzliwie obserwowano i nie szczędzono pomocy, gdy zajdzie potrzeba, ale by i tam nie pozwolono im żyć cudzym, czyli naszym kosztem.

Listy do Redakcji

„KOMU RADOŚĆ...?"

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem w nr nr 45 i 46 „Odgłosów" artykuły Andrzeja Makowieckiego pt. „Komu radość z ospałych pociągów". Tu muszę wyjaśnić, że jestem ofiarą kradzieży na PKP, stąd wypływa moje szczególne zainteresowanie podniesioną przez autora sprawą.

Pod koniec 1970 r. wróciłem do kraju po dłuższym pobycie w Australii. Bagaż swój (6 sztuk o wadze 139 kg i wartości a 1.600 dolarów) nadałem w Genui (Włochy) z okrętu na kolej za pośrednictwem firmy transportowej THOS. COOK and SON S. A. uiszczając odpowiednie opłaty. Miał on nadejść do miejsca przeznaczenia, tzn. stacji PKP Łódź Kaliska w terminie 10 dni. Istotnie we Włoszech nadano go na ekspres międzynarodowy „Grande Vitesse", co miało gwarantować szybki transport. Jednakże na stacji granicznej PKP w Zebrzydowicach bagaż mój zdjęto z ekspresu międzynarodowego i nadano dalej pociągiem towarowym jako „drobnica towarowa". Nie było ku temu najmniejszych powodów, bowiem przesyłka miała do miejsca przeznaczenia być transportowana jednakowo, a Urząd Celny jest również w Łodzi. Odprawa celna odbyła się w Łodzi, a nie w Zebrzydowicach.

Przesyłka moja, jak wynika z dokumentów przewozowych kolei, trasę: Zebrzydowice — Łódź Kal. przebyła w ciągu 41 dni.

Myślę, że chyba za czasów cara Mikołaja I, z Moskwy do Władywostoku by nawet szybciej dotarła. Nic dziwnego, że przy takim „tempie" i warunkach transportu złodzieje kolejowi mieli bardzo dużo czasu na spenetrowanie wszystkiego. Przesyłkę moją okradziono już na trasie Zebrzydowice — Katowice, jak wynika z dochodzenia milicyjnego. Powstała strata o wartości 1.465 dolarów australijskich, tj. około 120 tys. złotych. Skradziono mi 3 najlepsze i największe walizki o łącznej wadze 85 kg. Do Łodzi dotarły 3 pozostałe przesyłki (najmniej wartościowe) w stanie szczątkowym, ograbione i uszkodzone. W wyniku kradzieży straciłem towary i rzeczy osobiste, których w Polsce nie kupię za żadne, nawet za najwyższe odszkodowanie, gdyż po prostu na naszym rynku są niedostępne. Jest chyba rzeczą logicznie oczywistą, że skoro zdecydowałem się kupić te rzeczy za granicą i wiozłem je do kraju to tylko dlatego, że w Polsce kupić ich nie można. W przeciwnym bowiem razie o wiele bardziej opłacalne i mniej kłopotliwe byłoby przywiezienie lub przesłanie do kraju dewiz. Ponadto poniosłem dodatkowe wydatki na kupno nowej odzieży w Polsce, gdyż do kraju de facto wróciłem jak stałem (samolotem z Londynu do Genui, a stamtąd pociągiem via Wiedeń), podczas gdy cała moja garderoba znajdowała się w nadanym w Genui bagażu, który miał nadejść na mój adres w Polsce, a następnie został na PKP skradziony.

W sumie licząc była to dla mnie nie tylko wielka strata, ale i krzywda, której nie zapomnę do końca życia. Po otrzymaniu oficjalnego zawiadomienia z „Hartwigu" (Przeds. Spedycji Międzynarodowej) o niekompletności mej przesyłki, która dotarła wreszcie do Łodzi i potwierdzeniu go przez władze dochodzeniowe, czekałem jeszcze kilka tygodni w nadziei, że zaginione walizki się odnajdą. Niestety, na próżno.

Zarówno dochodzenie służbowe kolei, jak i dochodzenie przeprowadzone przez MO i prokuraturę woj. katowickiego nie przyniosły żadnych rezultatów. Sprawcy kradzieży pozostali nie wykryci. Z uwagi na niewykrycie sprawców czynu dochodzenie po pewnym czasie, zgodnie z przepisami, zostało umorzone. Rozpoczęła się długa i trudna droga walki o odszkodowanie od PKP za skradziony bagaż.

Zgodnie z przepisami złożyłem reklamację.

Mijały dni, tygodnie, miesiące. Termin jej załatwienia nie został dotrzymany. Kolej tłumaczyła to wielością spraw tego rodzaju oraz trwającym wciąż dochodzeniem służbowym. Wreszcie prawie po pół roku uznano moje roszczenie za słuszne.

Centralne Biuro Rozrachunków Zagranicznych PKP w Bydgoszczy wypłaciło mi najpierw odszkodowanie w kwocie równej 1/3 wartości poniesionej straty, z uwagi na obowiązującą w tego rodzaju rozliczeniach relację dolara do złotego. I znów starania o zmianę relacji, pisma, interwencje, wyjazdy do Warszawy, wizyty w ministerstwach etc. Dało to pewien efekt, ale częściowy.

O resztę odszkodowania i tak musiałem wystąpić na drogę sądową. Sprawę ostatecznie wygrałem. Wyrokiem sądu zobowiązano kolej do zapłacenia mi pozostałej należności. Pocieszam się nadzieją, że pozwany (kolej) nie będzie apelować i ureguluje ostatecznie swoje zobowiązanie. Wygląda na to, że sprawa ma się nareszcie ku końcowi. Cała procedura załatwienia odszkodowania trwa jednak prawie 2 lata. Uzbierała się gruba teczka korespondencji i dokumentów w tej przykrej dla mnie sprawie.

Nasuwa się niezbyt budujący wniosek, że właściwie jedną sprawą tego rodzaju można u nas zatrudnić całą administrację państwową, przez znaczny okres czasu. W załatwianiu tej sprawy (dochodzenie — odszkodowanie) było zaangażowanych aż 10 ważnych organów władzy państwowej (a zainteresowanych może być 15 jak ustaliłem).

Czy było to wszystko konieczne i czy załatwienie tej w zasadzie prostej sprawy musiało trwać aż tak długo? Śmiem twierdzić, że nie. W wielu innych krajach wypłacono by mi po prostu należne odszkodowanie w wysokości doznanych i podanych w dokumentach przewozowych strat i sprawa byłaby załatwiona w kilka dni. Co więcej, jeszcze by mnie grzecznie przeproszono za doznane kłopoty i krzywdę.

Kradzieże na kolei zdarzają się u nas bardzo często. Kolej płaci rocznie odszkodowania idące w grube miliony złotych. Czy nie warto więc pomyśleć o radykalnym, generalnym rozwiązaniu problemu? Czy naprawdę nie ma na to rady? Czy nie można u nas postawić wreszcie skutecznej tamy naprzeciw złu? Po prostu wystarczyłoby stworzyć taki system norm prawnych i kar, aby to nie popłacało i nie uchodziło bezkarnie.

JÓZEF SOKOŁOWSKI
(Łódź)

WYBORY W USA

Książka Jerzego Michałowskiego aktualna była nie tylko tuż przed wyborami prezydenta USA. „Jest to — pisze autor — po prostu przewodnik po wyborach amerykańskich, ułatwiający obserwację i zrozumienie procesu, o którym czytamy i słyszymy niemal codziennie w każdym roku wyborczym". Jest to więc publikacja aktualna także po wyborach i będzie aktualna także za cztery lata. Analizuje bowiem procesy i mechanizmy Wielkiej Gry o Biały Dom — gry toczącej się zawsze z podobnym scenariuszem co cztery lata.

Jerzy Michałowski trzykrotnie obserwował kampanię wyborczą w USA, ostatnio był ambasadorem w Waszyngtonie, ma za sobą wieloletnią karierę dyplomaty. Książka „Wielka Gra o Biały Dom" poza dwoma rozdziałami, dotyczącymi kampanii 1972 jest swego rodzaju anatomią owego „największego widowiska świata", jakim od wielu lat są niezmiennie amerykańskie wybory.

Szczególnie ciekawe są też aneksy, przynoszące informacje historyczne — od konstytucji z roku 1787 poczynając — kończąc na analizie wyborów przedostatnich. Aneks podaje również listę wszystkich prezydentów USA. Rzecz ciekawa — na 37 kadencji było 21 prezydentów-prawników. W kraju, gdzie prawodawstwo jest może najbardziej zawikłane i niejednolite. Sześciu było prezydentów-wojskowych, po dwu — dziennikarzy i profesorów...

Książka jest cenna, bo prezentuje nie tylko fakty, ale pokazuje mechanizmy i reguły owej Wielkiej Gry o Biały Dom. Gry, w której „zwycięzca zabiera całą stawkę".

Jerzy Michałowski „Wielka Gra o Biały Dom", „Czytelnik" 1972, cena 15 zł.

WIOSNA POETÓW

Siedemnastu autorów zdobyło laury w ubiegłorocznym „pierwszym kroku poetyckim", jaki każdej wiosny organizuje łódzki PAX. Co roku także poetycka impreza otrzymuje dokumentację w postaci niewielkiego tomiku wierszy „Łódzka wiosna poetów". Zbiorek z roku 1972 prezentuje utwory siedemnastu młodych autorów, znanych zresztą z publikacji w czasopismach, także z „Odgłosów".

Trudno oceniać ten zbiorek w kategoriach literackiego wydarzenia — nie przynosi on ani zaskakujących odkryć, ani nie prezentuje jakiejś odkrywczej „poetyki pokolenia". Jest jednak interesująca dokumentacją ruchu poetyckiego młodych ze wszystkimi zaletami i wadami. Po latach — a także i dziś nawet — kilkanaście książeczek „Łódzkiej wiosny poetów" stanowić może niecodzienną wartość dla historyka literatury, krytyka śledzącego linie rozwojowe polskiej poezji współczesnej.

W najnowszym tomiku PAX obok wierszy typowo „konkursowych", co jest niestety określeniem pejoratywnym, znajdujemy interesujące utwory Stanisława Kalady, Adama Ziemianina, Małgorzaty Bieżańskiej i łodzianina Kazimierza Świegockiego. Na marginesie tomu warto zauważyć, żeby wydawca na przyszłość zaopatrywał swe konkursowe antologie w krótkie noty o autorach i informacje dotyczące przebiegu imprezy. W czasie „Łódzkich Wiosen Poetyckich" wybitni poeci i krytycy wygłaszają ciekawe referaty i toczą się interesujące dyskusje. O te sprawy warto chyba w przyszłości poszerzyć doroczny almanach PAX-u.

J. W.

„Łódzka wiosna poetów 1972", Wyd. PAX, cena 10 zł.

KŁOPOTY WYNALAZCÓW

Myślę, że ten bardzo publicystyczny tytuł noty, najlepiej określa charakter popularnonaukowej książki Juliusza Jerzego Herlingera zatytułowanej „Niezwykłe perypetie odkryć i wynalazków", wydanej przez „Naszą Księgarnię". Pozycje tego zasłużonego instytutu wydawniczego rzadko omawiane są na naszych łamach, gdyż jak wiadomo, specjalizuje się on w książkach młodzieżowych, ale książka Herlingera jest uniwersalna i może, a nawet powinien ją przeczytać, dosłownie każdy.

Jest to nie tylko zajmująco opowiedziana historia techniki, poczynając od poszukiwań starożytnych, aż po ostatnie loty kosmiczne. Nie tylko opowiada. Najwartościowsze wydaje mi się to, że ta książka uczy także rozumieć skomplikowane procesy społeczne i ich mechanizmy, które sprawiają, że najdonioślejsze przejawy myśli technicznej nie mogą się doczekać swojej realizacji, jeśli nie zostają spełnione pewne ogólne warunki.

Autor zebrał wiele mało znanych, ale także i znanych anegdot o twórcach wynalazków, toteż ta popularna historia techniki jest zarazem historią ludzi, którzy torowali ścieżki naszej współczesnej cywilizacji. Czy na przykład wszystkim wiadomo, że słynny Edison rozpoczął swoją karierę wynalazczą w pociągu, gdzie zresztą spowodował pożar. I że ogromną rolę odegrała w jego drodze życiowej umiejętność telegrafowania, co zawdzięczał zupełnie nieoczekiwanemu przypadkowi?

Juliusz Jerzy Herlinger: „Niezwykłe perypetie odkryć i wynalazków", „Nasza Księgarnia" 1972, str. 381, cena zł 35.

„PALMY W KUFRZE"

Tytuł tej książki jest nieco egzotyczny, ale nie chodzi bynajmniej o opowieść o podzwrotnikowych krajach. Zresztą Anna Strońska, debiutująca jako pisarka, dobrze jest chyba znana czytelnikowi jako autorka pasjonujących reportaży społecznych i obyczajowych, często publikowanych przez prasę centralą. Z doświadczeń reporterskich narodził się chyba także jej tom opowiadań, który zresztą zwrócił na siebie od razu uwagę krytyki. Trzeba przyznać od razu, że rzadko który sukces jest tak bardzo zasłużony.

Książka Strońskiej, bliska w swojej warstwie obserwacyjnej reportażowi, może się wydać czytelnikowi nieco egzotyczna, jak to sugeruje tytuł. A przecież chodzi o południowo-wschodni zakątek Polski, który Strońska doskonale zna z autopsji, jak tego dowodzi właśnie jej debiutancki tom. Debiut, dodajmy od razu, aby rozproszyć wszelkie wątpliwości, na pograniczu dokonania. Ma bez wątpienia rację wydawca, kiedy stwierdza w reklamowym skrzydełku: są to „opowiadania, których współczesną akcję wzbogaca szeroka retrospekcja, przesycone są na wskroś autentyzmem, zarówno w języku — lapidarnym, zachowującym lokalne osobliwości, jak w sposobie portretowania bohaterów, znakomicie wkomponowanych w pełne dramatyzmu i konfliktów tło społeczno-obyczajowe południowo-wschodnich regionów Polski." Nic dodać, nic odjąć od tej charakterystyki, która jak rzadko pokrywa się z odczuciami recenzenta. Reklamiarska notka jest zresztą w tym wypadku zbyt skromna. Myślę, że mam prawo książkę tę polecić Czytelnikom „Odgłosów".

K. F.

Anna Strońska: „Palmy w kufrze", SP, „Czytelnik" 1972, str. 195, cena zł 12.

Dalszy ciąg ze str. 1

„CEFOL" z Wojciechowa produkuje ceraty. Kupuje je głównie klient wiejski, zapotrzebowanie jest więc stałe i duże. Ale „CEFOL" — zgodnie z powszechną tendencją — pomyślał o unowocześnieniu produkcji. Zaczęto więc wytwarzać folię z polichlorku winylu. Taka folia nadaje się do wytwarzania z niej kubków na napoje, kubków do masła roślinnego, opakowań dla przemysłu spożywczego. W Wojciechowie leżą sterty tej folii, bo przedsiębiorstwo produkcję uruchomiło wcześniej niż pierwotnie planowano. I niepotrzebnie. Przemysł spożywczy, dla którego produkcję tę przeznaczono, nie przygotował się do wytwarzania niezbędnych mu opakowań, licząc zapewne, że zrobią to za niego inni. Ale kto?

Przykłady te pokazują, że dziś już nie wystarczy występować z cennymi inicjatywami w jednym tylko przedsiębiorstwie, że niezbędna jest synchronizacja inicjatyw, że **konieczne jest myślenie kompleksowe. A koordynacja ze sfery postulatów przeniosła się do praktycznej działalności.** Inaczej, powstaje — nowe wprawdzie, ale przecież niekorzystne zjawisko — marnotrawstwa nie tylko produkcji, inicjatyw, pracy i pomysłowości ludzi. Obok strat materialnych — w magazynach leżą nowe wyroby, tworzą się straty moralne, a te jest znacznie trudniej później niwelować.

W naszym gospodarczym działaniu można obserwować dwie tendencje. Jedna, która każe poprzestawać na tym, co już osiągnięto, ograniczać się do zadań przekazywanych z nadrzędnych jednostek, nie pokazywać swoich pełnych możliwości. Wyraża ją popularne powiedzenie: „dobrze jest jak jest". I druga — coraz silniej dająca znać o sobie — to niezadowolenie z istniejącego stanu rzeczy, szukanie nowych sposobów produkcji, nowych rozwiązań organizacyjnych, dążenie do nowoczesności nie tylko wyrażanej w hasłach i postulatach, ale w codziennej praktyce. I ta druga tendencja musi zwyciężać.

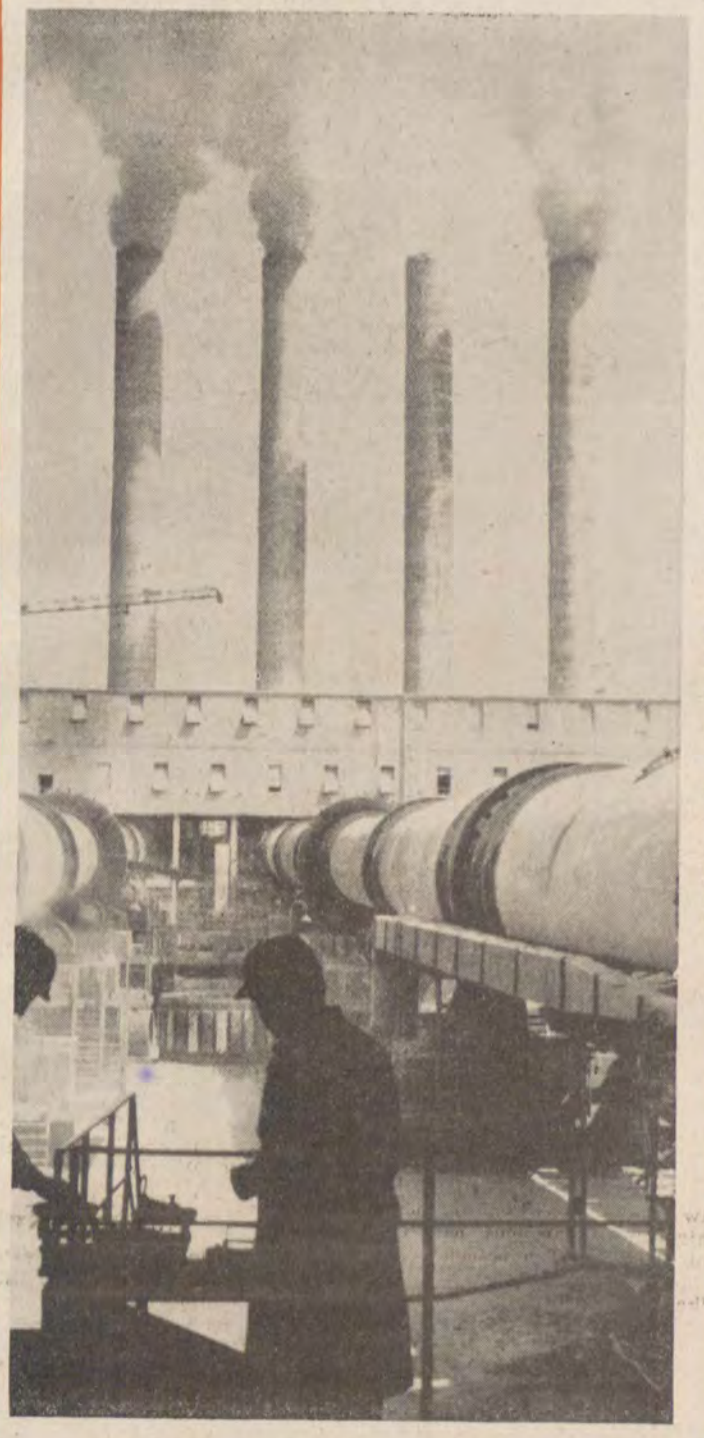

Fot. A. Wach

MINĄŁ ROK!

DOBRZE O INWESTYCJACH

W wielu dziedzinach gospodarki można już obserwować skuteczny postęp nowego sposobu myślenia. Do tej pory źle mówiło się o inwestycjach. Na porządku dziennym były „poślizgi", czyli opóźnianie prac, co wynikało z braku koordynacji, złej organizacji pracy i nierytmicznych dostaw materiałów budowlanych i maszyn. Obecnie coraz częściej obserwuje się dążenie do skracania okresu budowy, do jednoczesnego kończenia prac i przejmowania budowy przez użytkownika. Na przykład załogi przedsiębiorstw budujących **Cementownię „Warta-II" w Działoszynie** wystąpiły z inicjatywą skrócenia okresu budowy. Plan ubiegłego roku znacznie przekroczono i dziś oblicza się, że „Warta-II" powinna być gotowa o 9 do 10 miesięcy wcześniej, niż pierwotnie zakładano.

A jak wygląda sytuacja w Łodzi, która staje się wielkim placem budowy?

Wiadomo przecież, że do końca roku 1975 trzeba wydać **38 miliardów zł.** Tyle bowiem dostała Łódź na modernizację i rozbudowę. Jeszcze rok temu mówiło się, że dziennie trzeba wydawać w Łodzi około 20 milionów zł, w tym roku trzeba będzie dziennie wydawać około 30 milionów zł. To się tak ładnie mówi — wydawać. Nie wszystkim przemawia to do wyobraźni. Człowiek operujący w swoim domowym budżecie kilkudziesięcioma tysiącami zł rocznie nie jest w stanie pojąć, co to znaczy 30 milionów zł. Spróbujmy przedstawić to inaczej.

W tym roku trzeba będzie wybudować w Łodzi 29 tys. izb mieszkalnych. Tylko przemysł lekki będzie realizował w Łodzi 74 zadania inwestycyjne. Przemysł maszynowy — 6 nowych zadań i 6 z roku ubiegłego. Energetyka — 17. To wszystko nie licząc gospodarki komunalnej. I aby praca „zagrała" we wszystkich tych punktach, gdzie się będzie budować, trzeba niemałego wysiłku przy opracowywaniu harmonogramów, synchronizacji wielu różnych i specjalistycznych przedsiębiorstw budowlanych i montażowych.

A wyniki roku ubiegłego pokazują, że jest to nie tylko możliwe, ale że tak się już pracuje. Po jedenastu miesiącach pracy przy budowie „POLANILU" wprawdzie całość programu zrealizowano w 58,9 proc., ale roboty budowlane wykonano w 93,4 proc. Przy budowie Fabryki Pluszu i Dywanów „DYWILAN" całość programu wykonano w 112,1 proc., a roboty budowlane — w 130,2 proc. Taki postęp osiągnięto dzięki zastosowaniu importowanych z NRD konstrukcji stalowych przy wznoszeniu hal produkcyjnych, ale to tylko potwierdza, że szybkość w budownictwie zależy nie od ludzkiego wysiłku, a od umiejętności zastosowania nowej myśli technicznej i lepszej organizacji pracy. Tam bowiem, gdzie spóźniają się dostawcy maszyn — jak ma to właśnie miejsce we wspomnianym „POLANILU" — tam budowlani osiągają wprawdzie dobre wyniki, ale ogólny rezultat jest mierny. Potwierdza to tylko jeszcze raz spostrzeżenie o niezbędności koordynowania dobrej pracy i dobrych inicjatyw.

Postęp w budownictwie przemysłowym — które dla rozwijającej się Łodzi ma znaczenie decydujące — **osiągnięto dzięki świadomemu przyjęciu bardzo wysokich zadań inwestycyjnych.** W 1971 roku nakłady inwestycyjne wzrosły w stosunku do roku 1970 o **11,6 proc.**, a program prac budowlanych — **o 8,3 proc.** W roku ubiegłym wzrost ten wyniósł **23,8 proc. i 30,4 proc.** W roku bieżącym wartość nakładów w stosunku do roku ubiegłego rośnie o **31 proc.**, a program prac budowlanych i montażowych — o **41,7 proc.** Świadomość skoków, jakie czekają przedsiębiorstwa budowlane w najbliższych latach, zmusiła łódzkie władze do przełamania minimalistycznych tendencji, do zburzenia spokoju. Kosztowało to sporo nerwów, ale rezultat jest. Ludzie sami przekonali się, że można zrobić więcej. Jest to właśnie **owa maksymalizacja celów**, o której we wspomnianym wcześniej sejmowym przemówieniu mówił premier Piotr Jaroszewicz.

Czy jednak wszystko w łódzkim budownictwie było dobre?

Otrzymało ono i otrzymuje nadal, nowy sprzęt, którym jeszcze — niestety — nie zawsze potrafi posługiwać się i którego nie umie jeszcze należycie wykorzystywać. A więc już choćby w tym są znaczne rezerwy. Otrzymało wszelką niezbędną pomoc tak materialną, jak i inną, a w tym dodatkowe ilości ludzi do pracy. Teraz trzeba tylko doskonalić **organizację pracy**. Szczególnie w budownictwie mieszkaniowym, gdzie ostatnie tygodnie roku ubiegłego przypominały tak zawsze krytykowaną „szturmowszczyznę". A odbija się to znów na starcie do realizacji zadań roku bieżącego, bo nie przygotowano niezbędnych ilości nowych placów budowy, bo nie ma domów, które można byłoby w zimie wykańczać, bo daleko w tyle pozostał program budownictwa ogólnego: szpitale, pawilony handlowe i usługowe, domy opieki, żłobki, przedszkola i inne budynki niezbędne do należytego wyposażenia nowych osiedli i miasta. Przecież i w tej dziedzinie zadania rosną szybko, pozostając mimo to daleko w tyle za potrzebami.

Dla zobrazowania posłużę się kilkoma danymi. Jeśli w 1971 roku trzeba było wybudować tego typu budynków o powierzchni 8,2 tys. m kwadratowych, to w roku ubiegłym — 24 tys. metrów kwadratowych, a w tym roku 23,2 tys. metrów kwadratowych. Wzrost zadań w roku ubiegłym wyniósł 192,7 proc. Po jedenastu miesiącach ubiegłego roku plan ten wykonano zaledwie w 52,1 proc. A przecież nie wystarczy ludziom dać tylko nowe mieszkania, trzeba jeszcze zatroszczyć się o nowe sklepy, żłobki i punkty usługowe. Tym bardziej, że nowe osiedla: Zarzew, Teofilów C. czy Retkinia powstają na terenach dziewiczych, gdzie do sklepów, restauracji, kin czy bibliotek daleko i komunikacja nie zawsze najlepsza.

O inwestycjach — mimo to — zaczęło się już mówić dobrze. Jeśli więc pokazałem kilka ujemnych zjawisk, to nie dlatego, aby wprowadzić dysonans, ale aby uświadomić braki, które niezwłocznie trzeba przezwyciężyć. I wszystko wskazuje na to, że są warunki do tego, ale samo to się nie zrobi.

STAWKA NA WYOBRAŹNIĘ

Minął rok, pora więc obejrzeć się za siebie, aby popatrzeć nie tylko na to, co zrobiliśmy, ale przede wszystkim, na to: **jak pracowaliśmy?** Coraz śmielej patrzeć trzeba jednak przed siebie i daleko do przodu. Praktyka ostatnich miesięcy pokazała, że dziś nie wystarcza już świadomość celu, wyrażana liczbami, procentami i sumami nakładów inwestycyjnych. Liczyć się zaczyna wyobraźnia, zdolność widzenia zadań w ich przyszłych, realnych kształtach. Nie może wystarczyć już powtarzanie hasła: zbudujemy drugą Polskę, tę drugą Polskę trzeba umieć zobaczyć, umieć ją sobie wyobrazić. A więc stawka na wyobraźnię, a więc stawka na ludzi z wyobraźnią. Na rozmach, rzetelną i coraz lepszą pracę.

Pracowaliśmy dobrze, ale to nie znaczy, że nie możemy pracować jeszcze lepiej. I MUSIMY.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

PRZEGRANA ADMIRAŁA DOENITZA

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Jeszcze tego samego wieczora Karl Doenitz, urzędujący w tym czasie w Ploen k. Lubeki, wystąpił z przemówieniem radiowym do narodu niemieckiego i wydał rozkaz do całego Wehrmachtu. Oddał on w nim hołd Hitlerowi, mówiąc:

„Wcześnie rozpoznał on straszliwe niebezpieczeństwo bolszewizmu i tej walce poświęcił swoje życie(...) Jego życie było wyłącznie życiem dla Niemiec. Jego udział w walce z nawałą bolszewicką należy tym samym do Europy i całego świata kulturalnego".

Jako swe najważniejsze zadanie admirał Doenitz uznał kontynuowanie walki przeciwko Armii Radzieckiej dla umożliwienia setkom tysięcy uchodźców ze wschodnich prowincji III Rzeszy przedostania się do zachodnich rejonów Niemiec. Przeciwko armiom sojuszników zachodnich miał Wehrmacht prowadzić walkę jedynie, dopóki będą oni „przeszkadzali" Doenitzowi w realizowaniu tego celu.

Doenitz zdecydował się zakończyć wojnę, którą już od pewnego czasu uważał za przegraną. Nie miała to być jednak bezwarunkowa kapitulacja na wszystkich frontach, ale operacja wymagająca delikatnych pertraktacji. Jedną z jego pierwszych czynności było mianowanie nowego ministra spraw zagranicznych na miejsce zajadłego hitlerowca J. von Ribbentropa. Pierwotnie Doenitz przewidywał na to stanowisko konserwatystę K. von Neuratha, b. ministra spraw zagranicznych z lat 1932—1938. Nie można go było jednak odnaleźć w wojennym chaosie. 2 maja ministrem spraw zagranicznych został dotychczasowy (od 1932 r. bez przerwy) minister finansów K. hr Schwerin von Krosigk.

Schwerin von Krosigk natychmiast przedstawił swój program w przemówieniu radiowym. Dominowały w nim akcenty antyradzieckie. Po zarysowaniu rozpaczliwej obrony Niemiec, roztoczył on przed słuchaczami ponurą wizję „żelaznej kurtyny", która „rozpościera się coraz bardziej na zachód, zasłaniając przed oczyma świata to, co dzieło zniszczenia niesie tym ludziom, którzy dostali się pod przemoc bolszewicką".

Mówił on:

„Świat wie, że trzecia wojna światowa oznaczałaby nie klęskę jednego narodu, ale koniec rodzaju ludzkiego. Straszne bronie, które w tej wojnie nie zostały już użyte, weszłyby do akcji w trzeciej wojnie i przyniosłyby śmierć i zniszczenie całej ludzkości".

I dalej:

„My, Niemcy, spośród wszystkich narodów świata, poznaliśmy najlepiej, co oznacza już teraz zniszczenie kultury w czasie wojny. Nasze miasta są zniszczone, nasze pomniki kultury w Dreźnie i w Norymberdze, w Kolonii, Bayeruth i innych znanych na całym świecie miastach niemieckiego życia duchowego — leżą w ruinach, nasze katedry stały się ofiarami bomb".

Nie znalazł jednak ani jednego słowa potępienia dla hitleryzmu, który tę wojnę rozpętał i popełnił w jej czasie niezliczone zbrodnie, za co płacił teraz naród niemiecki.

Koncepcja polityczna admirała Doenitza przewidywała utworzenie pod przewodnictwem Schwerina von Krosigka tymczasowego rządu, składającego się z tych członków poprzedniego rządu, którzy mogli być uważani za **„czystych fachowców"** i byliby do przyjęcia jako partnerzy dla aliantów zachodnich. Rząd taki utworzono 5 maja 1945 roku we Flensburgu, nad granicą duńską, dokąd w międzyczasie przeniósł się Doenitz.

Ogólne kierownictwo (jako tzw. „kierujący minister") objął minister spraw zagranicznych i minister finansów — hr. Schwerin von Krosigk. Ministrem spraw wewnętrznych i ministrem kultury został dr W. Stuckart (dotychczasowy wiceminister spraw wewnętrznych, obciążony hitlerowską przeszłością autor i komentator ustaw rasowych III Rzeszy, tzw. „ustaw norymberskich"). Ministrem gospodarki i produkcji — A. Speer (dotychczasowy minister zbrojeń i gospodarki wojennej, a zarazem „enfant terrible" reżimu hitlerowskiego), ministrem wyżywienia, rolnictwa i leśnictwa — dotychczasowy minister wyżywienia i rolnictwa — SS-Gruppenfuehrer H. Backe, ministrem pracy i spraw socjalnych — były przewodniczący konserwatywno-nacjonalistycznego „Stahlhelmu" — dr E. Seldte oraz ministrem komunikacji i poczt — dr J. Dorpmueller (dotychczasowy minister komunikacji). 7 maja, w związku z ujawnianiem w coraz większych rozmiarach zbrodni hitlerowskich, popełnianych w obozach koncentracyjnych, Doenitz dla „ratowania twarzy" zdecydował się zdymisjonować dotychczasowego ministra sprawiedliwości G. Thieracka. Ministrem tego resortu został wiceminister K. Klemm.

Najtrudniejsze okazało się pozbawienie wszystkich funkcji obecnego również w północnych Niemczech Heinricha Himmlera, który wciąż uważał SS za „czynnik porządku w środkowej Europie" i „języczek u wagi" w bliskim, jego zdaniem, starciu Wschód — Zachód. Ostatecznie **zwolniono go z obowiązków dopiero 6 maja.**

Rząd Doenitza uznał, że posuwanie się wojsk zachodnich sojuszników na wschód leży w interesie Niemiec. Nie stawiano więc oporu jednostkom 2 armii angielskiej i amerykańskiego 18 korpusu powietrzno-desantowego, gdy 2 maja 1945 roku sforsowały Łabę pod Lauenburgiem i dotarły do Bałtyku pod Lubeką i Wismarem, zamykając przez to Armii Radzieckiej drogę do Szlezwiku-Holsztynu i Danii. Na froncie wschodnim zaprzestanie walki mogło nastąpić, zdaniem Doenitza i jego współpracowników, dopiero po wycofaniu uchodźców i niemieckich armii frontu wschodniego za linie anglo-amerykańskie. Potrzeba było na to, ich zdaniem, 8 do 10 dni.

Dążono do separatystycznej kapitulacji na froncie zachodnim drogą lokalnych pertraktacji z poszczególnymi dowódcami sojuszniczych grup armii, poczynając od dowódcy brytyjskiej 21 Grupy Armii, feldmarszałka B. L. Montgomery'ego. Zadecydowała o tym wiadomość o dokonanej 29 kwietnia, ale ogłoszonej dopiero 2 maja, kapitulacji wojsk niemieckich we Włoszech przed brytyjskim feldmarszałkiem H. R. Alexandrem. Część generalicji Wehrmachtu na czele z naczelnym dowódcą sił zbrojnych na tym obszarze, feldmarszałkiem Buschem i dowódcą wojsk okupacyjnych w Danii, gen. płk Lindemannem sprzeciwiała się kapitulacji nawet częściowej. **Przeważyły jednak względy polityczne.**

Rano 3 maja 1945 r. linie angielskie przekroczyła niemiecka delegacja, udająca się do sztabu feldmarszałka B. L. Montgomery'ego. Jej szefem był nowy dowódca Kriegsmarine, gen. adm. von Friedeburg. 4 maja 1945 r. o godz. 18.30 w Hecklingen koło Lueneburga podpisano lokalną kapitulację niemieckich sił lądowych, morskich i powietrznych w Holandii, północno-zachodnich Niemczech (włącznie z Wyspami Fryzyjskimi i Helgolandem) i Danii. 4 maja o godz. 15.14 Doenitz wydał rozkaz dla U-Bootów, nakazujący ich załogom zaprzestania działań bojowych przeciwko sojusznikom zachodnim. Rozkazał on zwolnić z niewoli króla belgijskiego Leopolda. Następnego dnia polecił zaprzestania działalności hitlerowskiej organizacji dywersyjnej „Wehrwolf" na terenach okupowanych przez aliantów.

Załogi łodzi podwodnych odmówiły wykonania rozkazu OKW o przekazaniu Anglikom okrętów w nieuszkodzonym stanie. W nocy z 4 na 5 maja przeszło 200 okrętów podwodnych, znajdujących się w portach północnoniemieckich, zostało zatopionych.

Ze względów formalnych feldmarszałek B. L. Montgomery nie mógł przyjąć proponowanej mu przez adm. von Friedeburga kapitulacji północnego skrzydła wojsk niemieckich na froncie wschodnim. **Zgodził się jednak na to, że żołnierze z tego zgrupowania (Grupa Armii „Wisła") będą mogli poddawać się wojskom brytyjskim indywidualnie. Ponadto strona brytyjska zgodziła się, że niemieckie okręty wojenne i statki handlowe na Bałtyku będą nadal kontynuować przewożenie wojsk i uchodźców do zachodniej części Niemiec z odciętych przez Armię Radziecką przyczółków nadbałtyckich w Kurlandii i na Helu oraz w delcie Wisły.**

Po pomyślnym spełnieniu pierwszej części planu separatystycznej kapitulacji na froncie zachodnim, Doenitz polecił von Friedeburgowi kontynuowanie tego zadania w sztabie naczelnego dowódcy Sojuszniczych Sił Ekspedycyjnych, gen. Dwighta D. Eisenhowera. 5 maja po południu delegacja niemiecka przybyła do Reims, gdzie mieściła się aliancka kwatera główna.

Zadecydowało jednak twarde stanowisko gen. D. D. Eisenhowera. Żądał on bezwarunkowej kapitulacji na wszystkich frontach, także na froncie radziecko-niemieckim. Trzymał się on obowiązującej wciąż jeszcze linii politycznej zmarłego prezydenta, Franklina D. Roosevelta. F. D. Roosevelt nakazywał unikania zadrażnień w stosunkach ze Związkiem Radzieckim, a to przede wszystkim dla zapewnienia Amerykanom pomocy radzieckiej w wojnie z Japonią. Tak więc Eisenhower nie chciał się zgodzić na żadną częściową kapitulację.

Jednakże szefowi Sztabu Dowodzenia Wehrmachtu, gen. płk Alfredowi Jodlowi, który stojąc na czele delegacji niemieckiej w Reims, do ostatka nie zaprzestał swych matactw, udało się osiągnąć pewne korzyści. Pod pretekstem trudności w nawiązaniu łączności ze wszystkimi grupami armii, a w szczególności ze znajdującą się wciąż jeszcze na terenie Czech i Moraw najbardziej wysuniętą na wschód Grupą Armii „Środek", feldmarszałka Schoernera — uzyskał on faktyczne odroczenie terminu przerwania działań wojennych. Osiągnął bowiem dla wojsk niemieckich 48 godzin czasu pomiędzy podpisaniem kapitulacji a zaprzestaniem ruchów wojsk. Gen. płk A. Jodl słał do Doenitza i znajdującego się w Bawarii sztabu operacyjnego „Południe" gen. Wintera rozpaczliwe telegramy, żądając przyśpieszenia ruchu wojsk niemieckich na zachód.

5 maja 1945 r. wybuchło powstanie w Pradze. Powstanie to i postępy Armii Radzieckiej uniemożliwiły grupie armii Schoernera osiągnięcie linii amerykańskich w wyznaczonym terminie.

Rząd radziecki i radzieckie naczelne dowództwo uznały fakt podpisania kapitulacji w Reims za nie wystarczający. Strona radziecka zażądała, aby Wehrmacht skapitulował ostatecznie i jednoznacznie także przed przedstawicielami Armii Radzieckiej. 9 maja o północy feldmarszałek Wilhelm Keitel oraz admirał von Friedeburg i gen. płk lotnictwa Stumpff podpisali w Berlinie ostateczny akt bezwarunkowej kapitulacji Niemiec na wszystkich frontach. Również wobec strony radzieckiej W. Keitel usiłował uzyskać 24 godziny czasu dla wprowadzenia kapitulacji w życie, ale tym razem szyta grubymi nićmi sztuczka nie udała się.

Przez 9 pierwszych dni sprawowania rządów, Doenitzowi, dzięki dwuznacznej postawie pewnych czynników sojuszniczych — udało się odnieść pewne sukcesy. Zezwoleniem na „indywidualne" poddawanie się żołnierzy niemieckich i całych zgrupowań frontu wschodniego, „uratował" on za liniami anglo-amerykańskimi około 1.850 tys. żołnierzy, co stanowiło 55 proc. stanu frontu wschodniego.

Wraz z podpisaniem dokumentu ostatecznej kapitulacji Niemiec w Berlinie, zakończył się pierwszy okres istnienia i funkcjonowania rządu Doenitza, w którym rząd ten dysponował jeszcze pewną swobodą działania i realną władzą. Najważniejszymi sprawami były: problem dalszego istnienia rządu Doenitza i działania w warunkach podpisanej bezwarunkowej kapitulacji. Natychmiast po tym fakcie we Flensburgu (który pozostał nieokupowaną enklawą w brytyjskiej strefie okupacyjnej) sformułowano tezę, że kapitulacja była aktem jedynie „czysto wojskowym" i dotyczyła tylko Wehrmachtu, a nie państwa niemieckiego. Utrzymywano, że nie oznaczała ona końca istnienia Rzeszy jako całości, a „legalnego" rządu Doenitza w szczególności. Twierdzono np., iż sojusznicy (w tym także Związek Radziecki), uznając przedłożone przez A. Jodla i W. Keitla upoważnienia do podpisania kapitulacji, zaopatrzone w pieczęć i podpis admirała Doenitza — uznali tym samym jego samego jako szefa państwa. Rozważano możliwość ustąpienia admirała i wysuwano kontrargumenty. Ostatecznie zwyciężyła koncepcja pozostania Doenitza u władzy (będącej w rzeczywistości po kapitulacji już tylko mirażem), stwierdzając m. in., że osoba admirała jest, przynajmniej na okres przejściowy i czas trwania demobilizacji Wehrmachtu, „gwarantem porządku".

W ostatnim komunikacie OKW z 9 maja 1945 r. stwierdzono, że żołnierz niemiecki „dokonał czynów niezapomnianych na zawsze" i że „jedyne w swoim rodzaju osiągnięcia frontu i ojczyzny znajdą swe ostateczne uhonorowanie w sprawiedliwym osądzie historii". Admirał Doenitz w wygłoszonym tego samego dnia przemówieniu do oficerów garnizonu flensburgskiego wezwał Wehrmacht do zachowania „dumy i godności" wobec „naszych byłych anglo-amerykańskich wrogów". „Nie mamy się czego wstydzić", mówił Doenitz, bo to, czego dokonał Wehrmacht w walce, a społeczeństwo na tyłach, jest „jedyne w historii". Wehrmacht jest „bez plam na honorze". Za najważniejsze uznał Doenitz pilnowanie „najpiękniejszej i najlepszej rze-

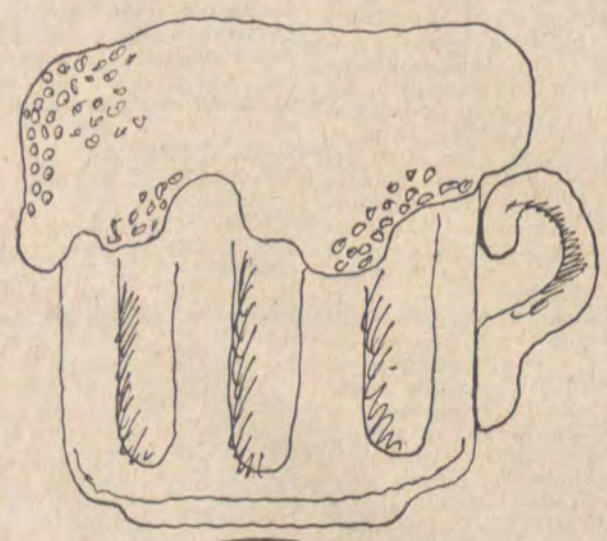

Perypetie F. J. Straussa

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Wśród tych czterech „prominente", F. J. Strauss od lat fascynuje wszystkich dziennikarzy politycznych na świecie. Ten bawarski polityk, gdziekolwiek się pojawi, budzi natychmiast ostre kontrowersje. Jego niewyparzony język obraża gładkich i układnych, wzbudza entuzjazm prymitywnych. Ale mówca potrafi także doskonale żonglować ostrą repliką i posługiwać się managerskim czy naukowym słownictwem. Jest trudny do pobicia w języku cyfr i statystycznych przeliczników. Kąśliwy w dyskusji jak osa, nie zapomina jednak o precyzyjnej i logicznej argumentacji. Za Straussem ciągnie się historia wielu skandali i afer, które nie jednego polityka dawno zaprowadziłyby na wieczne czasy w zacisze domowe. Kilku zapalonych demokratów, którym Strauss prawdopodobnie spać po nocach nie daje, wpadło na pomysł zebrania jego politycznych i awanturniczych personaliów w jedną całość.

W. Roth — przewodniczący Młodych Socjalistów przy SPD, **I. Matthäus** — przewodnicząca Młodych Demokratów przy FDP, **D. Lasse** — przewodniczący Niemieckiej Młodzieży Socjalistycznej i **W. Hass** — sekretarz do spraw młodzieży w Centrali Niemieckich Związków Zawodowych — wydali publikację pod tytułem **„Czarna księga F. J. Straussa".** W książce zawarli i udokumentowali życiorys polityczny tegoż polityka.

Powstała biografia męża stanu, który reprezentuje specyficzne właściwości charakteru oraz specyficzny styl działania. Złożona z kawałków mozaika po raz pierwszy pokazała szerokiej opinii publicznej życie polityczne tego człowieka na tle wydarzeń, których był bohaterem, lub którymi manipulował, a które w swoim czasie odbiły się szerokim echem w całych Niemczech. Pomysł okazał się doskonały, ponieważ publikacja w ilości 100 tys. egzemplarzy została rozprzedana w ciągu tygodnia, a następne wydanie, w ilości 80 tys. egz. jest już w przygotowaniu. Czytelnikowi polskiemu nie powinna być odebrana przyjemność zapoznania się z tą wydawniczą sensacją.

Życiorysowe niedyskrecje

F. J. Strauss urodził się w 1915 r. w Monachium w rodzinie rzemieślnika. Studiował historię, ekonomię, języki i prawo na Uniwersytecie w Monachium. Egzaminy państwowe zdał na przełomie 1939/40 r. Uczestniczył w II wojnie światowej. Po wojnie wybrany był radnym miasta Schongau (Bawaria). W 1949 r. był jednym z założycieli CSU, został wybrany jej sekretarzem generalnym. Tyle oficjalne źródła.

Autorzy „Czarnej księgi" okazali się jednak dokładniejsi i ustalili, że Strauss w okresie akademickim nie stronił od „ruchu socjalistycznego", należąc do „Nationalsozialistischen Kraftfahrkorp" — organizacji pomocniczej NSDAP, później zaś wstąpił do Nationalsozialistischen Deutschen Studentebund. Pozwoliło mu to, natychmiast po ukończeniu studiów, uzyskać korzystną pracę w charakterze nauczyciela w jednym z monachijskich gimnazjów oraz pozostać przez okres wojny na terenie Niemiec.

W II wojnie światowej brał Strauss udział jako dowódca baterii w Schongau, w stopniu porucznika Wehrmachtu. Po wojnie ląduje Strauss natychmiast jako tłumacz u aliantów. Wybór na radnego miasta okazuje się nominacją ówczesnego wojskowego komendanta miasta F. Hausera, porucznika amerykańskiego wywiadu. Z jego też polecenia obejmuje także Strauss funkcję przewodniczącego komisji d/s oceny działalności byłych członków NSDAP, której w latach późniejszych zawsze się wypiera.

W swojej działalności politycznej posiada Strauss na swoim koncie kilka stanowisk państwowych. Pełni mianowicie w okresie rządów CDU/CSU obowiązki ministra bez teki, ministra d/s atomowych, ministra obrony. Okres ten można nazwać najbardziej bogatym w materiał politycznych skandali, afer czy zdarzeń, które pozwoliły się Straussowi na trwałe zapisać w życiu politycznym NRF.

czy, jaką dał nam narodowy socjalizm — zwartości naszego narodu".

K. Doenitz nie ogłosił jednoznacznie końca reżimu narodowo-socjalistycznego i rozwiązania partii hitlerowskiej. Postanowił jedynie odciąć się od najbardziej jaskrawych przestępstw hitlerowskich. Nakazał dochodzenie w sprawie przestępstw, popełnianych w obozach koncentracyjnych, powołując w tym celu Najwyższy Sąd Rzeszy. **Nie rozwiązano SS, którego czołowa figura, SS-Obergruppenfuehrer Juetner, otrzymał polecenie zbierania wszystkich członków „czarnego zakonu" w jednym obozie.** (Do jakich celów?).

Doenitzowskie plany organizowania powojennej władzy w oparciu o kadry hitlerowskie napotkały na przychylne przyjęcie, szczególnie w dowództwie 21 Grupy Armii. **Feldmarszałek B. L. Montgomery postanowił bowiem posłużyć się dla przeprowadzenia kapitulacji i demobilizacji Wehrmachtu istniejącymi sztabami niemieckimi. Nakazał on zwrócić zarekwirowane samochody niemieckim sztabom i dowódcom.** Szefem wojskowej administracji niemieckiej miał zostać feldmarszałek Busch. Poza zasięgiem rozkazodawstwa B. L. Montgomery'ego i feldmarszałka Buscha znalazł się dowódca wojsk niemieckich w Norwegii, gen. Boehme, podległy dowództwu Szkockiego Okręgu Wojskowego. W swych wspomnieniach B. L. Montgomery pisze m. in.:

„Otrzymałem również rozkaz wstrzymania akcji niszczenia broni i sprzętu niemieckiego, na wypadek, gdyby okazały się one z tych czy innych względów potrzebne aliantom". Rozkaz ten pochodził od samego premiera W. Churchilla, a owe „te czy inne względy" — było to oczekiwane starcie Zachodu ze Związkiem Radzieckim.

Niedługo po kapitulacji Niemiec doszło do incydentów pomiędzy niemieckimi dowódcami a sojusznikami. Generałowie Lindemann i Boehme uważali np., że podległe im wojska powinny składać broń wyłącznie przed Anglikami i Amerykanami, a nie przed duńskim i norweskim Ruchem Oporu, odmawiali też aresztowania członków SD i Sipo (policji bezpieczeństwa), co nakazywali im alianci, nie uważając ich za zbrodniarzy wojennych. Nadzwyczaj wyzywająco zachowywał się feldmarszałek Busch, tak, że sam B. L. Montgomery musiał przywołać go do porządku.

Między 10 a 12 maja 1945 r. we Flensburgu zaczął ustalać się rytm i sposoby działania rządu K. Doenitza, OKW i licznych kadłubowych instancji pohitlerowskich. Codziennie o 10 rano odbywało się posiedzenie rządu. Pokrzepiano się żytniówką z zapasów ministra wyżywienia, co przyczyniło się do ożywienia nastroju. Doenitz mianował „według ceraskiej tradycji" szefa gabinetu wojskowego (kontradmirał Wagner) i cywilnego (Gauleiter Wegener). Pojawił się fotograf z byłego nadwornego atelier fotografa Hitlera, H. Hoffmanna, aby „uwiecznić" działalność ekipy flensburskiej. Przybycie 13 maja alianckiej komisji kontrolnej pod kierownictwem amerykańskiego gen. Rooksa niewiele zmieniło, a przyczyniło się nawet do stopniowego umacniania się wśród współpracowników Doenitza poczucia ważności i niezbędności. Jedynym realnym efektem jej działalności było aresztowanie szefa OKW, feldmarszałka W. Keitla i zastąpienie go przez nie mniej zresztą fanatycznego nazistę — gen. płk A. Jodla. A. Jodl stał się też jednym z głównych czynników, kształtujących linię polityczną pogrobowców hitleryzmu. 12 maja oświadczył on swoim współpracownikom:

„Aliancka delegacja musi zostać zasypana przepisami i memoriałami(...) Aliantom należy przedłożyć wielkie trudności organizacyjne, na których połamią sobie zęby. Jako naród w środku (Europy — M. S.) jesteśmy czynnikiem, z którym trzeba się liczyć".

„Na własną rękę — oświadczył przy innej okazji — nie możemy sobie pomóc, tylko z pomocą innych, tzn. punkt ciężkości naszego działania musi spoczywać w sektorze politycznym. Rola Niemiec jako narodu w środku Europy nie została jeszcze zakończona. Bez nas nie będzie można rozwiązać tych problemów. Należy mieć na widoku ten daleki cel".

17 maja do Flensburga przybyła radziecka komisja kontrolna. Jej działalność przyczyniła się do ukazania światu prawdy o próbach utrzymania przez aliantów zachodnich władzy pogrobowców hitleryzmu. Światowa opinia publiczna, poinformowana m. in. przez prasę zachodnią i radziecką o tych faktach i tendencjach, jednoznacznie wypowiedziała się przeciwko tego rodzaju polityce. **Pod naciskiem Związku Radzieckiego i opinii światowej D. D. Eisenhower wydał rozkaz aresztowania ekipy flensburskiej. 23 maja rano do enklawy we Flensburgu wkroczyła brytyjska brygada pancerna, której żołnierze aresztowali Doenitza i jego współpracowników. Próba utrzymania w Niemczech pohitlerowskiego reżimu zakończyła się więc fiaskiem.**

MAREK SOKOŁOWSKI

Korespondencja z Francji

PARYSKA JESIEŃ

Wielkim i znaczącym wydarzeniem paryskim w okresie wiatrów i deszczów jest „Jesienny Festiwal Paryski". Inaczej mówiąc „Paryska Jesień", tyle, że znacznie bogatsza od tejże w Warszawie, gdyż mimo widocznego prymatu muzyków i muzyki (czy też dźwięku?) stanowi imprezę integrującą szereg różnorakich dyscyplin sztuki. Uczestnicy Festiwalu mają do wyboru spektakle teatralne, baletowe, audiowizualne, filmowe i wreszcie wystawy plastyczne. Świadomie piszę — do wyboru — gdyż wielość imprez, niejednokrotnie dziejących się w tym samym dniu, a nawet tej samej godzinie zmusza do selekcji i wybrania jednej (imprezy) spośród wielu.

Kierując się rozsądkiem i zainteresowaniami — gros czasu poświęciłem (o zgrozo!) na uczestnictwo w spektaklach audiowizualnych sławy nr 1 światowej muzyki współczesnej, a jednocześnie architekta, również miary nieprzeciętnej, Iannisa Xenakisa. Jemu też, prawie wyłącznie, ten skromny szkic pragnę poświęcić.

Jeśli można sobie wyobrazić proroka, matematyka i humanistę w jednej osobie, to tą osobą jest właśnie Xenakis. Użyte słowa są tylko pozornie wielkie i napuszone, bo w istocie tyczą twórcy miary nieprzeciętnej. Artysta i teoretyk, bazujący na muzyce elektronicznej i konkretnej, w teorii i praktyce wyszedł daleko poza nie. Cały program artystyczno-myślowy Xenakisa opiera się na precyzyjnych wyliczeniach geometryczno-matematycznych, gdzie na równych prawach współistnieją: teoria prawdopodobieństwa, teoria kinetyczna, filozofia determinizmu, wreszcie osobowość artysty, jako koordynatora i kreatora. Polifonie Xenakisa, nazywane częstokroć przez samego autora muzyką „wolną", korzystają w równej mierze z doświadczeń dodekafonii, jak i logiki i kompozycji muzycznej w rozumieniu bardziej tradycyjnym. Artysta, Grek z pochodzenia, niejednokrotnie sygnalizuje swą „greckość" przez wprowadzanie zapomnianych już instrumentów Grecji antycznej równolegle z instrumentami odkrytymi przezeń na zasadzie przypadku (chociażby dźwięk dwu kamieni uderzanych o siebie).

Nie mam zamiaru czynić konkurencji teoretykom muzyki jako, że ani to ucho, ani ta wiedza. Zafascynowała mnie jednak najbardziej integralność wizji muzycznej z par excellence wizją plastyczną. Xenakis w obu wymiarach sztuki porusza się z wyszukaną i przemyślaną swobodą. Polytope de Cluny — tak nazywa się jedno z widowisk muzyczno-dźwiękowych Xenakisa, w którym doprawdy już trudno rodzielić akcję światła od dźwięku. System promieni laserowych, fleszy elektronicznych oraz muzyki elektroakustycznej, tworzą całość absolutnie zsynchronizowaną i spójną. Drogocenna aparatura „Philipsa" przetwarza dźwięki na barwne strugi świetlne i odwrotnie. Widz zdaje się wkraczać w nową epokę typu futurologicznego. Setki nadajników i wyliczonych refleksów pozwala w olbrzymiej sali Cluny uczestniczyć w czasowym i przestrzennym formowaniu się rzeźby świetlnej. Mnogość możliwości prawie że zupełnie likwiduje (częstą w rodzimych pokazach tego typu) monotonię. Opasani i wchłonięci przez kolorowe promienie, jak zahypnotyzowani śledzimy powstawania coraz to innych struktur. Proces „rzeźbienia" światłem, barwą i dźwiękiem trwa, a co najwspanialsze, odbywa się od początku do końca na naszych oczach.

W kabinie operacyjnej, przypominającej laboratorium, pracują w wielkim napięciu dwaj ludzie — Amerykanin i Polak. Temu ostatniemu, który jest młodym kompozytorem, aktualnie będącym na rocznym stypendium, zawdzięczam wprowadzenie w szereg tajników, bez fachowej wiedzy absolutnie niedostępnych. Aleksander Glinkowski między innymi umożliwił mi (chociaż częściowo) zrozumienie partytur Xenakisa, eksponowanych na wzór obrazów, czy raczej rysunków w salach „Musee d'Art Moderne de la Ville de Paris". Zafascynowały mnie swym graficznym bogactwem, przerażając jednocześnie brakiem klucza do ich zrozumienia. W obliczu tak rzeczowej fachowości cały nurt plastyków-konceptualistów wydał mi się ogromnie błahy i banalny. Jedna z odmian konceptualizmu lubuje się w posługiwaniu schematami geometryczno-matematycznymi. Ciągi i układy matematyczno-fizyczno-chemiczne na płótnach tych artystów mają zgoła walor dziecięcej fanaberii. Czemuś chcą służyć. Coś mówić. Kogoś przekonywać, a w istocie są nieświadomymi przedmiotu dziećmi, bawiącymi się na kosmodromie.

Brzmi to trochę napastliwie, ale takie są fakty. Osobiście jestem pełen niechęci do wszelakich imitacji. Pewien logiczny ciąg cyfr i znaków, zanotowany przez naukowca i specjalistę mówi o jakiejś obiektywnej prawdzie, na płótnie zaś plastyka jest fanaberią, grymasem, czy zgoła chęcią identyfikacji z kimś innym. Identyfikacji w sposób naturalny niemożliwej, Z równym powodzeniem tapczan mógłby identyfikować się z rakietą. To, co ze swej natury jest fizyczne, staje się metafizyczne. Bełkot „nawiedzonego" żadną miarą nie stanie się rozprawą doktorską.

Już widzę, jak poniektórzy moi znajomi wstają zdegustowani z krzeseł i być może przyjdą mnie „przywitać" na lotnisku. Ale to już tylko dowcip. Tak naprawdę to odnoszę wrażenie, że ogień sporów artystycznych ostatnimi czasy przeobraził się w wesoło igrający płomyk na rodzinnym kominku. Istotne elementy tego, bądź co bądź, socjologicznie interesującego faktu leżą chyba w egocentrycznym zadufaniu i absolutnym braku wiary w autentyczność czyjegoś talentu. Zatem, po co protestować, jeśli ten drugi jest matołkiem, chałturnikiem i obce są mu faktyczne głębie nauki.

Poza wycieczkami osobistymi jestem w trakcie wycieczki po Prowansji. W Tulonie, wczoraj pogodnym i ciepłym, zerwał się koszmarny mistral, grający w „kocha nie kocha" z platanami na tutejszych bulwarach.

Zrobiło się na tyle zimno (plus 9 st.), że chyba mieszkańcom Południa będą się śniły kuligi i białe niedźwiedzie.

ANDRZEJ SZONERT

P.S. Zwyczajem wyjeżdżających na zagraniczne tournee sportowców, pragnę przy okazji pozdrowić Pana Redaktora oraz wszystkich prawdziwych przyjaciół.

Z poważaniem

A. Sz.

Tulon, 25. XI. 1972 r.

Fot .A. Wach

Możnowładca

Stało się truizmem twierdzenie, że władza obnaża człowieka. Zdolność wykonywania funkcji kierowniczych w ramach przysługujących kompetencji jest nie lada sztuką. Nie jeden polityk nie oparł się przywilejom władzy i możliwościom, wynikającym z pełnionych funkcji. Strauss, ubrany w ministerialne obowiązki, szybko dał się poznać jako „pełnokrwisty" Bawarczyk, śmiało korzystający z przywilejów władzy.

W kronikach zachował się pierwszy rozkaz ówczesnego ministra obrony Straussa, zobowiązujący żołnierzy i oficerów Bundeswehry do **„nienagannego zachowania się w czasie służby i poza służbą".** Z rozkazem tym związana jest pewna historia. W czasie codziennych dojazdów do ministerstwa służbowym samochodem, prowadzonym przez ulubionego szofera ministra — L. Kaisera, mija Strauss skrzyżowanie, na którym kieruje ruchem policjant Hahlbohm. Widać policjant niezbyt honoruje ministerialną limuzynę, bo szofer, L. Kaiser, na polecenie Straussa, przejeżdża przez skrzyżowanie, nie zważając na znaki regulującego ruch policjanta. Tylko przypadek zdecydował, że samochód ministra uniknął zderzenia z tramwajem. Policjant zapisał oczywiście numer samochodu w celu wyciągnięcia konsekwencji wobec nie przestrzegającego znaków kierowcy. Strauss, w czasie drogi powrotnej, chcąc ratować swego pupila, starał się wywrzeć nacisk na policjanta, by incydent puścił w niepamięć. Gdy policjant upierał się jednak przy swoim, wszechwładny Strauss poprosił o jego nazwisko, kończąc rozmowę słowami: „już ja się postaram, żebyście znikneli z tego skrzyżowania". („Spiegel", 3. 9. 58). Minister o groźbie nie zapomniał i po bezskutecznej interwencji u miejscowego komendanta policji, zwrócił się ze skargą do ministra spraw wewnętrznych o ukaranie policjanta Hahlbohma za złe kierowanie ruchem. Skarga po wnikliwym zbadaniu została jednak odrzucona, ponieważ policjant prawidłowo wypełniał swoje obowiązki.

Ta urocza historyjka nie stanowi odosobnionego faktu z życia ministra. Główną cechą ministra Straussa jest autorytatywność. Doskonale obrazuje to incydent z porucznikiem S. Barhem. 14 września 1961 r. dwa myśliwce Bundeswehry naruszyły obszar NRD i zostały zmuszone do lądowania na terenie NRD. Główny inspektor Luftwaffe, na osobiste polecenie Straussa, przeniósł za karę dowódcę myśliwców, por. S. Bartha — do służby naziemnej, wszczynając jednocześnie przeciwko, niemu postępowanie dyscyplinarne. Okazało się jednak, że porucznik jest niewinny. Po orzeczeniu sądu dyscyplinarnego porucznik, który nie myślał pożegnać się z lataniem, zwrócił się do ministra o przywrócenie go na poprzednio pełnioną funkcję. Minister nie odpowiedział na prośbę porucznika. W związku z powyższym uparty porucznik wystąpił przeciwko ministrowi ze skargą przed sądem wojskowym, powołując na świadków uczestników postępowania dyscyplinarnego i swoich przełożonych, którym Strauss wydał polecenie przeniesienia go do służby naziemnej. Strauss jednak złośliwie zabronił występowania swoim podwładnym przed sądem wojskowym ze względu na „tajemnicę państwową". Najwyższy Sąd Wojskowy w oparciu o dostępne dokumenty, nakazał pozostawienie Bartha w służbie powietrznej i na poprzedniej funkcji.

Przez długi jeszcze czas uchylał się minister od wykonania orzeczenia sądu i odszkodowania, które orzeczono dodatkowo. Ustąpił dopiero pod presją parlamentu i prasy, nie omieszkając publicznie oświadczyć, że odszkodowanie, owszem, zapłaci, ale... „z kasy partyjnej CSU".

Prawdziwy mężczyzna

Jako Bawarczyk z krwi i kości udowodnił światu, że jest także prawdziwym mężczyzną i od męskich przyjemności nie stroni. W noc z 24 na 25 października 1962 r., w czasie tzw. kryzysu kubańskiego, na zamku Brühl obradował gabinet federalny. Strauss zażądał od swoich ministerialnych kolegów wprowadzenia stanu wyjątkowego. Koledzy, na szczęście, odmówili i kryzys zakończył się bez „udziału" NRF. Na tęgiej popijawce, która odbyła się później, obraził kilka osób, które demonstracyjnie opuściły spotkanie. Nad ranem znaleziono ministra w nienajlepszym stanie, w zamkowym ogrodzie, który tłumaczył swoje zachowanie „lekką niemocą". Upoważniło to H. Nennena z redakcji „Sterna" do złośliwego stwierdzenia — „jeśli ktoś znajdzie po przyjęciu ministra rzygającego w ogrodzie, to musi sobie zdać sprawę, że nie chodzi tutaj o zwykłe pijaństwo, lecz o lekką niemoc, która może każdego z nas spotkać".

No cóż, można i tak, jeśli ironia zawarta w tym stwierdzeniu wystarczy za wyrażenie społecznej dezaprobaty.

Słabości ministra zaczynają mu robić „prasę", która śledzi jego każdy krok, oczekując na sensację. Kiedy więc Strauss „wplątał się" w słynną aferę ze „Spieglem", obrońcy R. Augsteina (wydawcy „Spiegla") przedstawili sądowi interesujący materiał, charakteryzujący Straussa w związku z jego służbowym pobytem w USA.

„Z flaszką whisky w kieszeni, po męskim wieczorze, w nocy z 25 na 26 lipca 1964 r., w konsulacie generalnym NRF w San Francisco wybrał się Strauss do murzyńskiej dzielnicy, by wylądować w knajpce prostytutek najgorszego gatunku. Gdzieś około 2 w nocy minister przystał na propozycję alfonsa i wybrał sobie młodą prostytutkę, którą zawiózł taksówką do swojego luksusowego hotelu. Szofer taksówki, który rozpoznał Straussa z wcześniej opublikowanych zdjęć w miejscowej gazecie, powiadomił o tym natychmiast prasę. Strauss pozwolił się jeszcze zobaczyć w towarzystwie czarnej prostytutki w hollu swojego hotelu, dokąd wpuszczono go tylko ze względu na zajmowane stanowisko. Minister zabrał dziewczynę do swojego apartamentu i wypuścił po „dobrej" godzinie".

Na cenzurowanym

Słabości Straussa stają się łatwym łupem dla prasy, wyspecjalizowanej w skandalach i argumentem w ręku jego przeciwników. Życie ministra staje się coraz trudniejsze. Musi uważać na każde wypowiedziane słowo, a w każdym wazonie podejrzewa ukryty mikrofon. Co zrobić jednak, gdy natura ponosi człowieka? Gdy podał się do dymisji po nieudanej nagonce na „Spiegla", który wiódł prym w opisywaniu różnorodnych skandali ministra, powrócił do Bawarii poświęcając się polityce „regionalnej", tzn. przewodzeniu CSU, pracy dziennikarskiej oraz uzupełnianiu swojego wykształcenia.

Jest jednym ze znanych w świecie mężów stanu, którzy opanowali metodę tzw. „atomowego czytania". Pochłania masami książki i publikacje, studiuje gospodarkę i politykę, pisze książki. Opinia publiczna, która nie spuszcza Straussa z oka, oczekuje metamorfozy polityka. Dyskusje polityczne dostarczają Straussowi szczególnej przyjemności. Właśnie przy okazji takich dyskusji następuje następne „fatalne" potknięcie, wytykane później przez opinię publiczną.

Ale o tym w następnej korespondencji.

WITOLD GÓRALSKI

Był to dla nas czas grzechoczącego w teczkach piórnika, umazanych atramentem palców i przyciskania dziewczyn w ciemnych kątach szkolnego korytarza. No i wagary. Daleko się na nie wypuszczaliśmy. Aż wstyd przyznać, że nie wyściubialiśmy nosa poza pola, łąki i skraj lasu, nie licząc odwiedzin starego młynarza pod Morgami.

Tego lata wrócił do miasteczka Piotrek, który siedział w miejskiej szkole. Zaczął się chwalić, że już poznał pół Polski, a w ubiegłym roku wraz z wędrownym obozem łaził nawet po górach.

— **A ty, co** — śmiał się. — **Kiśniesz pod wierzbami na ryneczku, wąchasz sobie smrodek z gospody i liczysz kawki na wieży kościelnej.**

Zawstydziłem się. Bo fakt, że czas spędzony w miasteczku obmeszył mi górną wargę, a ja nawet nie chodziłem jeszcze na ubaw po dalszych wsiach. To mnie tylko kolnęło, że i on, choć już taki miastowy, a też przecież nie zna dalszej okolicy miasteczka.

— **Jakeś taki cwany** — powiedziałem — **to urządzimy wycieczkę. Ale nie taką miastową, z panem profesorem, plecakami, namiotami.**

— **Dobra, zgadzam się.**

— **Ale mnie idzie o to, żebyśmy zrobili tę wycieczkę bez niczyjej pomocy. Każdy stara się jak może, liczy tylko na własną pomysłowość i zaradność.**

— **Nie rozumiem, dlaczego tak długo przemawiasz** — zaśmiał się Piotrek.

RYSZARD BINKOWSKI

Wyjaśniłem mu mój plan. Zgodził się i przyjął wszystkie warunki. Robiliśmy przygotowania.

Już w sobotnie popołudnie w brodle za plebańskim sadem leżały dwie zielone, nadgryzione przez myszy płócienne torby, które od czasu wojny walały się po strychu w domu Piotrka. W tych torbach umieściliśmy wygrzebane z rozjechanego piorunem piasku kamienie i zawinięte w papier próchno wierzbowe. Jedzenia prawie nie zabieraliśmy. Z wyjątkiem pajdki chleba, główki cebuli i kilku kwaśnych papierówek. Jedynymi narzędziami, którymi według umowy mogliśmy się posługiwać, były scyzoryki w drewnianej oprawce.

Nie spaliśmy prawie, ukryci w brodle. Toteż, kiedy jutrznia płomiennym światłem prześliznęła się przez źdźbła siana, wyszliśmy z rozgrzanych jam.

Nad miasteczkiem wisiała poszarpana wstęga płowego jedwabiu. Ta wstęga na zachodnim niebokresie rozsypywała się w drobnych piórkach i ginęła w błękitnym błoniu.

Ruszyliśmy na północ. Już na łąkach musieliśmy zdjąć buty. Nadranna perlistość parzyła chłodem bose stopy, jeszcze dokuczliwsze było przekraczanie w bród płynącej pod stodołami rzeczki. Minąwszy stajka kukurydzy, weszliśmy w pola odzwonione pierwszą nieśmiałą sygnaturką skowrończą. Przed nami, daleko pod miastem ciemniał świerkowy łeb pagóra.

— **Pamiętaj, nie żądamy niczyjej pomocy** — powiedział Piotrek.

— **Co ty się wysilasz** — zaśmiałem się. — **Skołowaciałeś w tym mieście do cna! Przecież chyba ja to wszystko wymyśliłem, nie?**

Naindyczył się i chciał wracać, to mu powiedziałem, że naprawdę robi się z niego miastowy wypierdek, a o tej włóczędze po górach, to niechybnie buja. Nie odezwał się. Zacisnął zęby i poszedł przodem. Ledwie mogłem za nim nadążyć. Zasuwaj brachu, poć się zawczasu, myślałem, ciekawe, jak wyrobisz się z naszej umowy. A umówiliśmy się, że jak powtórnie będziemy przekraczać rzeczkę, złowimy w niej rybę. Usmażymy na ogniu skrzesanym kamieniami, a ości przyniesiemy na dowód, żeśmy tego dokonali.

Po półgodzinnym marszu, w czasie którego nie odzywaliśmy się do siebie, dotarliśmy do pokruszonego miejscami, ceglastego parkanu. Pomagając sobie wzajemnie, przeleźliśmy przez ten parkan i międzydrzewną ścieżką wdrapaliśmy się na szczyt pagóra. Stał tam ogromny prostopadłościan, ułożony z poprzerastanych chwastem i mchem kamiennych bloków. Obok, nad długimi wybrzuszeniami zbiorowych mogił, sterczały iskrzące się miką kolumny, na których wyryto wiele obcych, nieznanych nam słów.

Oparłem się o kamienny mur. Czułem idące od ziemi drżenie. Jakby po tym wzgórzu dudniły kopyta kozackich koni... Konie wpadają w szeregi niemieckich żołnierzy... Dzwoni stal w srebrnych iskrach, kwiczą konie, dymi zapach prochu i krwi, jęk ginie w huku wystrzałów...

Piotrek westchnął. Chyba odczuł coś podobnego. Wyrastaliśmy we wspominkach ostatniej wojny, ale wśród starszych ludzi krążyła jeszcze krwawa ballada grudniowej bitwy z 1914 roku.

Milczeliśmy. Piotrek patrzył ku północy, gdzie w niebokresie sterczały nad miastem dymiące kominy. Nasze miasteczko błyszczało w rośnych jeszcze dachach pod papą, dachówką i eternitem.

Stuknąłem Piotra w plecy. Wyciągnąłem pięści z zaciśniętymi w nich kamieniami. Białym i żółtym. Kolor oznaczał trasę, którą każdy z nas miał pójść.

Ciągnij — powiedziałem.

Wyciągnął biały.

— **A więc według umowy** — mówiłem — **pójdziesz na wschód. Przejdziesz nowy rurociąg, dotrzesz do wiatraka i śródleśnej wsi. Tam trzeba uważać, bo teren bagnisty. Ale za to dużo ptactwa.**

Pochyliliśmy się nad mapkami, przerysowanymi z mapy wiszącej w korytarzu Prezydium. Na wschodzie zaznaczyłem wiatrak, na zachodzie zaś wieś, leżącą w tej samej linii i równej od miasteczka, tak jak wiatrak, sześciokilometrowej odległości.

— **Nikt nikogo nie oszuka** — powiedziałem. — **Ludzie z tej wsi, gdzie pójdziesz, karmią świnie grubą śrutą, bo nie jeżdżą do elektrycznego młyna. Taką grubą śrutę mielą tylko na wiatraku. Przyniesiesz garść tej śruty. A ja przyniosę z zaznaczonej na mapce wsi, kilka liści tytoniu, bo tylko tam, i to chyba zaledwie dwóch gospodarzy go uprawia. Jasne?**

Skinął potakująco głową. Z ociąganiem podał mi dłoń. Uścisnąłem ją. Odwróciliśmy się plecami. Powiedziałem jeszcze:

— **Spotkanie w lesie, na południe od miasteczka. Wzgórze z wieżą pomiarową.**

Przed każdym z nas leżał biegnący dokolnie po niebokresie ponad dwudziestokilometrowy szlak.

Zszedłem z cmentarnego wzgórza do stojącego w rzednących świerkach parkanu, za którym wąską asfaltową drogą przemykały pojedyńcze auta. Za drogą zieleniło się płaskie wzgórze. Dotarłem do jego stóp i zszedłem na kamienistą ścieżkę, przecinającą zakolami pola i ginącą w cieniu starej lipowej alei. Dalej tężał w gęstej zieleni park w dębach, jesionach, kasztanach. Za tym parkiem dymiła faja komina cegielni. Kiedy wydostałem się z liściastego tunelu lipowej alei, pośród uchodzącej na północ zieleni łąk, dojrzałem rozpłomieniony błękit w lustrach trzech dużych stawów.

Byłem w starym majątku, który jakiś fabrykant podarował niegdyś żonie na imieniny. W miasteczku wiele opowiadano o fabrykancie i jego majątku, ale dziś po raz pierwszy oglądałem opalizującą w słońcu okrągłą basztę starego pałacyku.

Za obszernym podwórzem, obok zniszczonego mostu sterczały fundamenty wodnego młyna. Opowiadano, że pierwszym osadnikiem był tu wąsiaty młynarz. Szumiała spadająca na młyńskie koło woda, drżały czarne ściany, małe okienka całe w mącznej pylistości...

Ocknąłem się. Szmer wody wyciekającej z michu stawu hodowlanego... I ostry zapach nawozu, ciepłego, spienionego mleka, warkot elektrycznej dojarki idący z pobliskiej obory...

Na skraju parku rósł ogromny, rosochaty dąb. Jego pień z trudem objemowało czterech mężczyzn. Przeciekająca przez konary smuga światła rozpalała diamenty w rośnej pajęczynie. Jak w królewskiej koronie. Wszystkie stare dęby mają swoich królów. Może i tu, jak twierdzili mieszkańcy, zasiadał dla wypoczynku władca, dążąc na piotrkowski trybunał?...

Idąc na południowy zachód, oddalałem się od miasteczka, które płomieniło się w dojrzewającym, coraz wyższym słońcu. Określiłem czas, gdyż od miasteczka spłynął głos dzwonu na mszę.

Wkraczałem w zieloną dolinę. Zapachniało rybą, miętą, zastygłym w cieple mułem. Byłem nad rzeczką. Omijając pokrzywy i gęstą wiklinę, wszedłem w jej nurt. Pod stopami uciekający, ostry dotyk żwiru i śliskość płaskich kamieni.

Zanurzyłem dłonie w wodzie. Przez palce przeciekało srebro, tęcza światła w drobnych kroplach. Spryskałem twarz wodą i parsknąłem z uciechy. Będę pierwszy! Piotrek, zasiedziały w mieście, odwykł od łowienia ryb. Nie tak łatwo uda mu się ją złowić.

Począłem wypatrywać rybę. Woda była lekko żółta, ale czysta, z dna szło światło żwiru, widać było doskonale harcujące małe, najezone ostrymi kolcami rybki.

Od przeciwległego brzegu przemknął długi, wąski cień. Zniknął pod nawisłą trawą. Wstrzymując oddech, wsuwałem ostrożnie dłonie pod korzenie wikliny. Gwałtowny plusk, uciekająca z palców śliskość... Pełnym rozmachem wyrzuciłem w trawę większego od dłoni, podobnego do kołka szczupaka.

Dwa palce lewej dłoni wcisnąłem pod skrzela. Szczupak rozwarł pysk w okrągły ryjek. Uderzyłem trzonkiem scyzoryka w czarny łeb ryby, czułem w dłoni drganie uchodzącego z niej życia. Szczupak zesztywniał. Odciąłem mu łeb, oskrobałem i wypatroszyłem.

Zebrałem garść obeschłego z rosy suszu i krzesząc kamieniami iskrę na wierzbowe próchno, wznieciłem ogień, nad którym upiekłem nadzianego na patyk szczupaka. Posiliłem się, przegryzając chlebem i cebulą. Wody napiłem się wprost z rzeki. Miała smak zmoczonego przez deszcz siana. Ości ukryłem staranie w torbie i ruszyłem w dalszą drogę.

Było południe, kiedy przeszedłem wieś leżącą przy asfaltowej drodze. Robiło się gorąco. Ranna jedwabistość obłoczna zabliźniła się w błękicie.

Znajdowałem się wśród pól zamkniętych niebokresem wchodzącym w błękitnawą mgłę, wiszącą nad ciemną ścianą dalekiego lasu. Idąc tam mijałem porośnięte zbożem, grzywiaste pagórki, pocięte miedzami, na których sterczały krzewy głogu i samotne wiatrami grusze. Pola przechodziły w zagony kukurydzy, w drobne stajka słonecznika i tyczkowego grochu. Za jednym z nich zielenił się pas tytoniowych krzewów. Najpierw w pochyleniu, potem zaś czołgając się, podsunąłem się do plantacji. Aż wierciło w nozdrzach od ostrego zapachu nagrzanych liści. Zerwałem kilka łapiastych liści tytoniu i ukryłem w torbie. Klucząc pod sadami, obszedłem zastodołami wieś i dotarłem do leśnej, przerośniętej korzeniami drogi. Stała tu kapliczka Matki Boskiej z urwaną głową. Zatrzymałem się, gdyż kapliczka była stara, okryta kurzem, spękana, przeto dziwnym było, że nikt jej dotąd nie naprawił.

Nagle coś mnie ukłuło w plecy. Drgnąłem, potem odwróciłem się wolno. Przede mną stał chłopak w spłowiałej koszulce, bosy, w ręku trzymał biczysko. Uśmiechał się głupawo.

— **Krowy pasę pod lasem** — zaczął — **nie ma do kogo gęby otworzyć, to podszedłem...**

— **Jak złodziej** — powiedziałem. — **Ludzi ci się zachciewa straszyć.**

— **Ece, tak tylko... A ty obcy, po co tu łazisz? Na kapliczkę się gapisz. Tę głowę urwał Bozi piorun. Nikt nie naprawia figurki, bo ludzie mówią, że ją musiał zły człowiek, a i majster felerny rychtować, skoro trzasnął w nią piorun.**

Nie było czasu na pogaduszki. Ruszyłem w dalszą drogę. Ale w pachnącym mchem i żywicą cieniu lasu, miast rzeźwości, poczułem zmęczenie. Chciało mi się pić. Zadanie prawie że wykonałem, do wieży była niecała godzina drogi, toteż położyłem się w mchu pogryzając papierówki, gasiłem pragnienie.

Górny las szeptał koronnym szeptem. Morze tak szepcze, morze... Leżą na jego gorącym brzegu, grzywiaste fale z sykiem liżą nabrzeżny piasek... Z tego piasku, zza wydm wychodzą dziewczyny o oliwkowych twarzach... Jedna z nich podchodzi do mnie. Przyklęka i ciemnymi palcami dotyka mojej twarzy... Ale ten dotyk jest chłodny, pozbawiony pieszczoty. Otrząsam się przy tym zimnym dotyku. Przecieram oczy...

...Korona lasu płonie rudym światłem. Szukam słońca. Wisi u zachodniego niebokresu. Do diabła! Przespałem ponad dwie godziny!...

Zerwałem się z mchu i począłem śpiesznie przedzierać się przez młodnik i krzewy malin, aby nadrobić stracony czas. Biegłem na ukos i mogłem pobłądzić, ale nie myślałem o tym. Kiedy znalazłem się w starej buczynie, wiedziałem że to tu, że zaraz dotrę do stóp wzgórza. I wtedy doszły mnie dziwne dźwięki... Muzyka...

Ostrożnie podpełzłem za kępę leszczyny. Poczułem zapach gorącej kawy... Rozwarłem pręty leszczyny. Oczy rozszerzyły mi się, wstrzymałem oddech... U stóp wieży leżał na kocu Piotrek i słuchał bateriowego radia. Na spirytusowej maszynce parował garnek z kawą...

— **Ty zdrajco, ty świński cwaniaku** — wrzasnąłem wyskakując z leszczyny. Piotrek poderwał się zaskoczony. Krztusząc się z gniewu, biegłem do niego z zaciśniętymi pięściami. I wtedy zobaczyłem ją, potknąłem i rymnąłem na płask. Podnosząc się z trudem, patrzyłem w osłupieniu na jasnowłosą dziewczynę w dżinsach, która wyszła zza wieży. Uśmiechała się do mnie.

— **Ona jechała z miasta** — bąknął Piotrek — **i chciała... wejść na tę wieżę... Nie mogłem odmówić... Ale mam tę śrutę z wiatraka!** — wykrzyknął z triumfem.

— **A nich was** — trzasnąłem torbą o ziemię.

Dziewczyna podeszła, podała mi kubek ciepłej kawy. Wypiłem, nie patrząc na nią. Nawet nie podziękowałem.

— **Warunki zostały spełnione** — szepnęła. — **A że z mojej winy...**

Potrząsnąłem przecząco głową. Zawstydzony, w milczeniu wierciłem czubkiem buta w mchu.

Nad naszymi głowami las gasnął w brązowym świetle...

WSPÓŁCZESNA HOLENDERSKA TKANINA ARTYSTYCZNA

Nie kłóćmy się o nomenklaturę. Skoro to, co Państwowa Komisja Zakupu Sztuki Użytkowej w Amsterdamie na czele z architektem Beno Premselem wybrała, aby pokazać w Polsce, nazwane na plakacie i w katalogu zostało tkaninami — niech będzie. Wreszcie nie w tym rzecz, a skądinąd przecież wiadomo, że kłopoty z nazywaniem mają i malarstwo współczesne i grafika i wszystkie bodajże wszystkie inne dyscypliny sztuki. Ważne są same eksponaty, a nie szufladki, w których ewentualnie można by je pomieścić. Ale zanim o eksponatach, najpierw słów kilka o kontaktach polsko-holenderskich i tradycji holenderskiej w dziedzinie tkaniny holenderskiej.

Otóż, jak wiadomo, między Polską a Holandią została podpisana umowa o wymianie kulturalnej, której m. in. — wynikiem były dwie polskie wystawy tkaniny artystycznej w Holandii, w 1965 roku, udział naszych tkanin w wystawie zorganizowanej przez Muzeum Miejskie w Amsterdamie w 1969 roku oraz obecna ekspozycja współczesnej tkaniny holenderskiej w łódzkim Muzeum Historii Włókiennictwa. Pokazy polskiego gobelinu i innych tkanin artystycznych zostały wysoko ocenione przez krytykę holenderską i wzbudziły spore zainteresowanie w środowisku holenderskich plastyków, parających się tą dziedziną twórczości, umacniając ich w przekonaniu, iż artysta współczesny ma prawo do eksperymentu w każdej dyscyplinie sztuki, niezależnie od tego jak silnie są związane z nią tradycje warsztatowe, materiałowe i estetyczne.

Co się tyczy tradycji to ta nie wydaje się być najbogatszą. Holandia nigdy nie była znaczącym centrum tkactwa artystycznego, nie dorównywała ośrodkom francuskim czy belgijskim. Całkowity upadek holenderskich warsztatów rękodzielniczych, jak się wydaje, przyniósł wiek XIX, wiek maszyny. Dopiero działalność Bauhausu w latach dwudziestych, a następnie francuskich pracowni gobelinów wywołało poruszenie wśród artystów holenderskich i skierowało ich zainteresowanie na tkaninę artystyczną raz — jako na przedmiot sztuki użytkowej, dwa — jako na pełnoprawny środek wyrazu artystycznego. Stara to prawda, że najtrudniejsze są początki i że jak się raz zacznie to już potem idzie łatwiej, raz gorzej, raz lepiej — ale idzie. Po wojnie artyści holenderscy włączyli się aktywnie w nurt, a raczej w nurty sztuki światowej na wszystkich frontach, także w dziedzinie tkaniny artystycznej.

Dominującą cechą prac eksponowanych w Muzeum łódzkim jest eksperyment i to w każdym kierunku, a więc eksperyment materiałowy, warsztatowy i formalny. Więcej, niektórzy z artystów holenderskich przypominają ową panią z pewnej anegdotki, której, gdy powiedziano, że jej wszystko wolno, rozebrała się do naga i na dodatek stanęła na głowie. Tak się sprawa ma z R. van Koningsbruggenem, pokazującym „Dzianiny" o wymiarach 23x50x1 cm, albo 18x38x1 cm, umieszczone w schludnych gablotkach. Tak jest z Ch. van Restem, który wymyślił „gorset dla... drzewa" (wymiary: 300x60x5 cm) z juty, płótna konopnego, słomy i lin oraz „woreczki dla przyszłości" (wymiary: 300x200x2 cm) z juty i płótna lnianego. Tak wreszcie postępuje i Krijn Giezen, eksponując „łapacza powietrza" (wymiary: średnia 80 cm, długość 24 m) z płótna żaglowego i drzewa. Wypominając powyższe eksponaty i ich specyfikacje nie znaczy wcale, że nie cenię sobie dowcipu i pomysłowości, przeciwnie — ale po prostu nie znajduję w powyższych pracach tego, co określać przywykliśmy (czy też określać chcemy) mianem tkaniny artystycznej.

Obok tychże ekstrawagancji są na wystawie również prace znamionujące poszukiwania głębokie i twórcze, prace w których bądź zawarta jest jakaś koncepcja intelektualna, bądź też wyraźna myśl o ich funkcji dekoracyjnej w konkretnych może nawet wnętrzach. W jednych zastosowano nowy materiał, zachowując tradycyjne sposoby tkania. W innych użyto i nowego materiału i nowej konstrukcji, tworząc struktury przestrzenne, w których obok nowych splotów i wiązań, obok koloru i formy istotną rolę odgrywa światło przenikające poprzez półprzezroczyste tworzywo, łamiące się w nim, odbijające się od niego. Asortyment stosowanych materiałów jest spory — tak znajdujemy wykorzystane taśmy z tworzyw sztucznych, rurki z celofanu, folię srebrną i złotą, len, sizal, bawełnę, polipropany, skórę, płótno żaglowe i konopiane, drzewo, propan, wełnę, jutę, żelazo, rayon, manilę, flanelę. Celowo przytaczam tu ów spis materiałów, bo może on właśnie najpełniej wyraża pragnienie odnowy i inności, pragnienie maksymalnego wzbogacenia i urozmaicenia, dążenie do takiego skondensowania najrozmaitszych czynników, tworzących tkaninę, aby była ona równie bogata jak i tradycyjny gobelin, będąc przy tym zupełnie innym tworem. Te dążenia, aby zamknąć w każdej pracy wiele różnych efektów, właściwe są niemal wszystkim wystawiającym. I stąd zapewne, poza różnorodnością samego tworzywa, bierze się różnorodność źródeł inspiracji. Plastycy holenderscy wykorzystują doświadczenia malarstwa, grafiki, reliefu... Karla Munsters robi właściwie obrazo-reliefy, zaszywając w przezroczystej folii barwione wełny. K. Giezen w pozostałych swych pracach ze skóry opiera się na zdobyczach abstrakcji niegeometrycznej i malarstwa informelu. Madeleine Bossocher sięga nawet do grafiki op-artowskiej w swojej „strukturze złotosrebrnej".

Na osobną uwagę zasługuje wykonanie poszczególnych prac. Bardzo solidne, czyste. Dbałość o jakość warsztatu, niezależnie od tego, czy jest on tradycyjny czy nowy, wymyślony przez autora, plastycy holenderscy poza stworzeniem dzieła sztuki dążą również do stwarzania estetycznego przedmiotu, kierując się wyraźnie jego przeznaczeniem. Ta, nazwijmy to, praktyczność jest bardzo charakterystyczna. Dzieło może być daleko posuniętym eksperymentem, może być nawet dziwaczne, ale wykonane jest zawsze z ogromną pieczołowitością, bardzo solidnie.

Być może, ktoś kto zna polską tkaninę artystyczną, powie, że słowo „eksperyment", którego używam, nie bardzo znów przystaje do prezentowanych na wystawie prac. Po pierwsze więc niech zajrzy do katalogu i prześledzi daty powstawania niektórych dzieł. A po drugie niech weźmie pod uwagę, że eksperyment czy poszukiwanie mogą i muszą mieć różne kierunki. Plastycy holenderscy są zafascynowani przede wszystkim tworzywem i niekonwencjonalnymi sposobami budowy struktury tkaniny. Poza tym wykazują wyraźne skłonności do estetyzowania, unikając właściwie ekspresji typu abakanów na przykład. Ponadto pokazany zestaw jest zaledwie wycinkiem twórczości artystów holenderskich i może mieć znaczenie poznawcze, ale nie pretenduje do pełnej reprezentacji. Dodajmy do tego, że wśród wystawiających jest wielu z najmłodszego pokolenia twórców, nie bardzo jeszcze zdecydowanych co i jak ostatecznie będą robić.

W sumie wystawa współczesnej tkaniny holenderskiej jest ciekawym przyczynkiem do obrazu współczesnej tkaniny w ogóle. Wykazuje, jak wieloma drogami posuwa się ona naprzód, ile wysiłku i inwencji wkłada, aby dotrzymać kroku innym dyscyplinom sztuki. Uwidacznia ponadto raz jeszcze oczywistą wymienność doświadczeń i wartości w obrębie całej współczesnej plastyki. To, co wczoraj oglądaliśmy na obrazie czy planszy graficznej, dziś widzimy przetworzone na inny język w tkaninie czy rzeźbie. Dlatego też raz jeszcze powtórzę — odłóżmy na bok kwestię nomenklatury i przyjrzyjmy się uważnie samym dziełom.

ANDRZEJ GRUN

CHARLIE VAN REST — „Woreczki dla przyszłości"

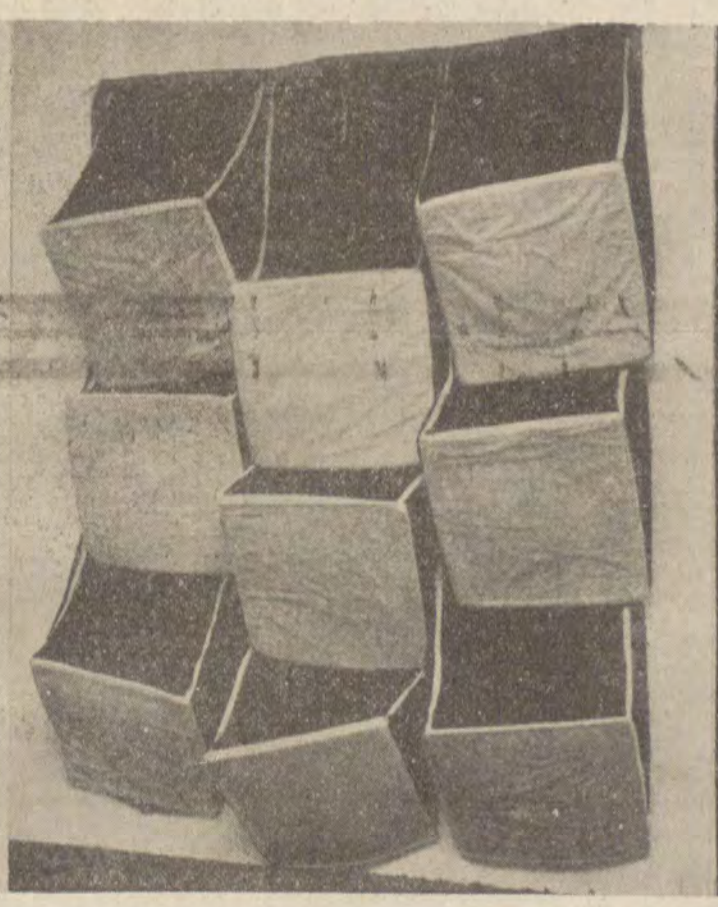

ANNA — „Mimikra"

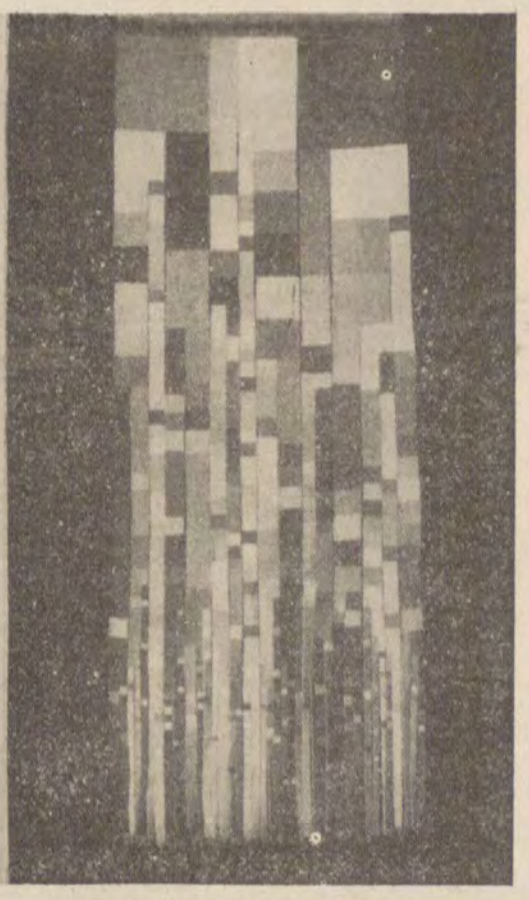

JANNA DOEBELE-VISSER — „Zima"

§ ZEZWOLENIE NA ŚLUB

Mężczyzna dorosły zawiera małżeństwo przeważnie z trzech powodów równocześnie: z miłości, z rozsądku i konieczności, a zdarza się nawet, że i z przyzwyczajenia. Mężczyźni nie dorośli na ogół też zawierają żeństwa z tych samych powodów, lecz najczęściej z konieczności. Ponieważ teraz młodzi z reguły nie pytają rodziców o zezwolenie na ślub, więc jak są nieletni, muszą pytać choć sądu. Dawniej z kolei rodzice nie pytali o zgodę dzieci, wydając niejednokrotnie za mąż nawet niemowlęta. Królowa Jadwiga miała dwanaście lat, jak poślubiła Władysława Jagiełłę. Zosia również była nieletnia, kiedy wyszła za mąż za Tadeusza z „Pana Tadeusza".

Młode pary, które przed świętami Bożego Narodzenia ubiegały się przed Sądem dla Nieletnich o zezwolenie na zawarcie małżeństwa, nie kierowały się raczej racją stanu, ani na pewno rozsądkiem. Chłopcy stawali dziwnie wystraszeni, dziewczęta pokorne, ich rodzice zrezygnowani, a Wysoki Sąd usposobiony sceptycznie.

— Gdzie będziecie mieszkać po ślubie? — zapytuje sędzia.

— U mnie — odpowiada chłopiec.

— Albo u mnie — odpowiada dziewczyna.

— A rodzice wasi się zgadzają?

— Nie wiemy — odpowiadają w duecie.

— A umiesz ty chociaż gotować i dziecko nakarmić? — pyta Wysoki Sąd panienki siedemnastoletniej, która przerwała naukę w III klasie zasadniczej szkoły handlowej, ażeby próbować szczęścia w małżeństwie.

— Tak, proszę Wysokiego Sądu — odpowiada dziewczę płowowłose w stanie błogosłowionym (pytam się: przez kogo błogosławionym?) i zerka błagalnie w kierunku mamy. Biedna matka skarcona wzrokiem dziecka, przytakuje, że owszem, córka potrafi, da sobie radę i w ogóle.

— A ty — zwraca się Sąd do ciężko przestraszonego autora ciąży — pracujesz, utrzymasz dom, rodzinę?

— Ja niedługo idę do wojska — odpowiada chłopiec — i nie opłaca mi się szukać pracy.

Spoglądam w tym momencie na jego ojca. Chłop drapie się za uchem, a minę ma niewyraźną. Może przypomniał mu się w tej chwili ów teść, którego zięć student zaskarżył do sądu o alimenty dla wnuka.

Rzadko zdarza się, ażeby przed tym sądem stanęła para młoda, piękna i zakochana i oświadczyła głośno: „kochamy się, chcemy się pobrać!". Podobno jeden raz zdarzył się taki wypadek. Zakochana para studencka wystąpiła z prośbą o zezwolenie na zawarcie małżeństwa, motywując to tym tylko, że bardzo się kochają i postanowili usankcjonować swoją miłość ślubem. Zezwolenie otrzymali. W większości wypadków motywem jest przypadkowa ciąża — argument nie do odparcia. Choć i ta reguła ma swoje wyjątki. Całkiem niedawno sąd oddalił prośbę o zezwolenie na zawarcie małżeństwa, choć dziewczyna była w piątym miesiącu ciąży. Ojcem dziecka okazał się notoryczny kryminalista, przebywający aktualnie w więzieniu za gwałt. Czasem łatwiej zdobyć zgodę na rozwód niż zezwolenie na ślub.

Małżeństwa zawarte w zbyt młodym wieku są nietrwałe. Wynika to stąd, że dojrzałość do życia seksualnego wyprzedza dojrzałość do życia społecznego, rodzinnego. Rodzina, jak wiadomo, jest podstawową komórką społeczną. Małżeństwo jest bezlitosnym egzaminem z odpowiedzialności — przed społeczeństwem, przed samym sobą, no i oczywiście — przed drugą osobą. Ludzie starsi, co prawda usiłują przekazać młodszym pewną sumę familijnych doświadczeń zakarbowanych na własnej skórze. Owszem, udaje się to w każdej innej dziedzinie życia, lecz niestety, w sferze pożycia małżeńskiego doświadczenia przodków są mało przydatne. Żeby poznać prawdziwy smak małżeństwa, każdy musi doświadczyć go osobiście. Ale śpieszyć się nie ma po co.

KAROL BADZIAK

FILM

UKRAIŃSKA BALLADA

Przed rokiem Jurij Iljenko na spotkaniu z młodzieżą akademicką pokazywał w Łodzi swój głośny już wówczas film „BIAŁY PTAK Z CZARNYM ZNAMIENIEM"; obecnie film ten jest już na ekranach i ma szansę zachwycić wielu. Mówić przy „Białym ptaku" o zachwyceniu, to mieć na uwadze ten szczególny, nieco irracjonalny stan poddania się nastrojom i sugestiom dzieła sztuki.

W 1965 roku film Siergieja Paradżanowa „Cienie zapomnianych przodków", w którym Iljenko był autorem zdjęć, przypomniał istnienie kina ukraińskiego. W kijowskiej wytwórni, następcy wielkiego mistrza poetyckiego kina, Aleksandra Dowżenko, sięgając do bogatej tradycji ukraińskiej sztuki ludowej, rozpoczęli nowy okres tego kina. Nie znamy pierwszego, podobno znakomitego samodzielnego filmu Iljenki „Noc świętojańska", opartego na opowiadaniu Gogola, „Biały ptak" potwierdza zatem niewątpliwy talent tego scenarzysty, reżysera, operatora i aktora w jednej osobie. Ten film — ballada o tragicznych losach huculskiej rodziny, związanych z dramatycznymi dziejami Bukowiny Karpackiej lat czterdziestych, ma swe źródła w czystej sztuce ludowej, ale i w literackiej, jeśli wspomnieć Tarasa Szewczenkę, Łesię Ukrainkę czy Iwana Frankę. Jednocześnie jest dowodem niezwykłej poetyckiej wyobraźni samego Iljenki i ciągle jeszcze odkrywanych możliwości wyrazowych sztuki filmowej.

Jest rok 1939, nędznie się żyje huculskiej rodzinie Lesia Zwonara, gromadzie dzieci nie ma co dać jeść. Stary Zwonar zarabia, szmuglując budziki ze „strony rumuńskiej" na „polską" i grając wraz ze starszymi synami na wiejskich uroczystościach. Gdy bieda zbyt silnie już przycisnęła, sprzedaje synów na targu bogatym gospodarzom. Orkiestra Zwonarów się rozpada. Przychodzi rok 1940, Bukowina staje się częścią radzieckiej Ukrainy, zaczyna się wojna. Bracia Zwonarowie stoją po różnych stronach barykady, dochodzi do bratobójczej walki. Do rodzinnej wioski powróci jako lekarz — jeden. W tragiczny, pogmatwany los braci Zwonarów wkroczyła też piękna, lecz dramatyczna miłość do jednej dziewczyny, córki popa — Dany.

Niezwykle rzadko ośmielam się opowiadać treść filmu. Jeśli od tej zasady tym razem odstępuję to dlatego, by przedstawiając same zdarzenia, zasygnalizować krąg spraw niezwykle dramatycznych i bardzo nie prostych w historycznych ocenach. Mimo balladowej konwencji jest przecież „Biały ptak" także dramatem politycznym i społecznym. Leży jednak u jego podstaw pewien schemat — w swym wielkim poetyckim widowisku nie znalazł bowiem Iljenko miejsca dla głębszych analiz psychologicznych, czy choćby wyjściowej motywacji aktów wyboru drogi przez poszczególnych braci. Deklarują się w samych słowach i samym działaniu, przesuwa ich Iljenko po dramatycznej mapie konfliktów narodowych i politycznych w sposób dość bezceremonialny, ich dzieje prezentuje w epizodach, które łączyć trzeba samemu. Czyni to jednak z tak szaleńczą sugestią, że wszystko inne sobie dopowiadamy bądź poprzestajemy na tym, co jest nam dane. A bogactwo tych darów jest ogromne, zawarte głównie w plastycznych, zmysłowych niemal walorach filmu.

Uroda plastyczna „Białego ptaka" wywodzi się w swym jednym nurcie ze wspomnianych już nawiązań do huculskiej sztuki ludowej. Trudno jednak mówić o filmie Iljenki o rodzajowości, o kopiowaniu czy naśladownictwie. Mamy tu do czynienia, przy pełnym bogactwie ludowego szczegółu i pietyzmie dla narodowej oryginalności, z daleko posuniętą stylizacją, która nadaje obrazom rangę znaczeń symbolicznych i uniwersalnych, zawierających żywioł ludowości i narodowości w ogóle. Tkwi on w pejzażu, w typach ludzkich, obyczaju, w muzyce i tańcu, w strojach i rekwizytach. Określona koncepcja plastyczna, ale i dramaturgiczna ma też swe źródło w założonym pojawianiu się pór roku, z całą ich poezją nastroju i koloru, pór roku, które w życiu, a potem w sztuce zawsze ujawniają biologiczny związek człowieka z naturą. Ów związek synów ziemi z nią samą eksponuje Iljenko zgodnie z najstarszymi tradycjami kultury, w sposób niezwykle piękny, opowieść o braciach Zwonarach to również opowieść o ich pięknej ziemi, o przyrodzie, wśród której żyją.

Plastyka filmu Iljenki to jednak plastyka ruchu, toteż jego dramaturgię wyznacza rytm szaleńczy, niespokojny — najpiękniej chyba wyrażony w scenie tańca, tego tańca nie zapomni się nigdy, trwa, gdy go już nie ma.

Zaznaczając pewne psychologiczne słabości w rysunku bohaterów, nie można nie podkreślić ich znakomitej wyrazistości: żywiołowych braci Zwonarów, lirycznej Dany — przedmiotu ich westchnień, demonicznej wiejskiej czarownicy i jawnogrzesznicy Wiwidii, a także postaci epizodycznych i całej wiejskiej społeczności. Nie można nie podkreślić całej gry namiętności, wypełniających ludowych bohaterów.

Piękny film Jurija Iljenki przywołuje świat, którego już nie ma, świat „zapomnianych przodków" — warto spotkanie to nie przeoczyć.

EWA NURCZYŃSKA

TEATR

PASJE POSZUKIWAŃ STUDENCKICH

Najpierw „Teatr 77" poszukiwał sali prób. Później sceny do występów i w końcu widzowie musieli znaleźć sposób, ażeby dostać się na spektakl, gdyż tylko 44 osobom można było uczestniczyć w tym widowisku. Przybyłych na ten seans okadzono dymem i wprowadzono do mrocznej sali. Nie ma miejsc do siedzenia, a przecież w teatrze się siedzi... Tu trzeba stać, chodzić, mieszać się z aktorami.

Sceno-widownię ogranicza półkoliste tło. Przedstawiający i uczestnicy zajmują tę samą przestrzeń. Reflektory rzucają słabe światło, rozbrzmiewa muzyka Bacha, unosi się zapach kadzidła. Rozpoczyna się „Pasja". Ustawione grupy mimów w czarnych trykotach ruszają w „drogę krzyżową" — w gestach i w ruchach przedstawiają obrazy, sceny Męki Pańskiej. Zmianę stacji wyznacza dzwonek. Melodia i rytm muzyki zmienia się kilkakrotnie (przeróbka Vivaldiego, ludowa pieśń). Jedyny rekwizyt, jaki tam występuje, to czerwone płótno czy też może szata, którą ociera kobieta twarz Ukrzyżowanego. Rekwizyt ten zmienia później symbolikę, staje się sztandarem — ludzką pasją działania, to znowu jest symbolem dziecka czy też za chwilę postacią mężczyzny. Ta metaforyka kawałka płótna ma obrazować zmienność namiętności ludzkich. Narasta ruch, w oślepiającym błysku świateł odsłania się obraz ludzi pędzących, goniących, ktoś pada w tłumie, rzucają na niego czerwone płótno.

Widz poruszający się dotąd wraz z aktorami, zatrzymuje się. Zapalają się światła, zmienia się nastrój, odchodzą wykonawcy scen pantomimicznych, część zostaje w tłumie. Świat się urealnia. Dwanaście osób w normalnych już strojach zasiada za zielonym, długim stołem. (Rozciągnięte na ziemi sukno udaje stół prezydialny). Teraz tylko się mówi. Mówiących od oglądających oddziela biała linia. Padają z tamtej strony apostołów(?) słowa wielkie — o państwie, społeczeństwie, są to autentyczne teksty polityków i mężów stanu. Przez nie przedzierają się głosy o sprawach małych i błahych, ale prawdziwych. Znaleźć tam można czas rozpraw i rozrachunków. Postawy moralne i społeczne ludzi. Dwunastu zasiadających za stołem rozpoczyna po tym pieśń rewolucyjną — śpiew staje się coraz głośniejszy i groźniejszy w tonie. Z pieśnią, pełną pasji, ale i narastającej groźby, ciężkim i marszowym krokiem odchodzą. Przy stole zostaje człowiek, który przez cały czas rozmów nie rzekł nic. To postać chyba myśliciela, intelektualisty, który nie chciał mieszać się w te sprawy. Zostaje też leżący człowiek, przykryty płótnem z pierwszej części. A na stole stoi ciągle nie tknięty duży tort. I tak zostaje on do końca. Talerzyki, które widz dostał przy wejściu okazują się tylko prowokacją. Światło przygasa. To koniec.

Teatr ten, podobnie jak i inne teatry studenckie, podjął naczelne hasło — teatr studencki teatrem zaangażowanym i poszukującym. Rzeczywiście, sprawy tu pokazane, to problemy całego społeczeństwa i narodu. Te trudne i ciężkie, które stoją przed nami, lub ciągną się zostawiając bolesne ślady. Ale czy w tym przedstawieniu powiedziano nam coś nowego? Czy to chociaż nas poruszyło i wstrząsnęło? Chyba nie. Widzowi trudno odnaleźć tu swoją pasję, metaforyka przewijająca się przez dwie części — dźwiganie krzyża męczeństwa przez naród jest niezbyt uzasadniona przy wymowie podanych tutaj słów i faktów. Nie widać spójności ani treściwej ani formalnej między tymi dwoma częściami. Poza tym jest już dostatecznie wyeksploatowana w najróżniejszych wersjach dramatycznych, teatralnych czy, plastycznych.

Ciekawsza, chociażby pod względem formy, wydaje się pierwsza część, w wykonaniu Sceny Pantomimy, kierowanej przez Jerzego Moniaka. Poczynania tej młodej grupy ludzi idą w kierunku poszukiwania ruchu i gestu w przestrzeni scenicznej, czy też stosowania zastygłych scen mimicznych. Jest to ciekawe, ale i trudne w swojej alegorii. Odbiór i zrozumienie scen pantomimicznych utrudnił pomysł wciągnięcia widzów w uczestnictwo „drogi krzyżowej". Może miało to swoją wymowę, ale przeszkodziło w oglądaniu. Fotoreporterzy uzbrojeni w zgrzytające aparaty fotograficzne, skutecznie psuli nastrój i iluzję. Plastyka ruchu, pomysł układu scen ginął w toku ciżby, gdyż każdy z widzów chciał być najbliżej i doznać najwięcej wrażeń, wiele więc elementów mogło być nie zauważonych. Szkoda, że pantomima ograniczyła swój popis do minimum czasu. Ponoć na występach w Edynburgu pokazano inną wersję i wzbudziła w Anglii zainteresowanie. Nie wykorzystano dostatecznie możliwości oświetlenia, efektu bardzo istotnego w pantomimie. Wprawdzie zastosowano efektowne błyski lampy elektronowej, dającej ciekawe wrażenie, ale było to tylko powtórzenie z poprzedniego przedstawienia „Tratwa meduzy".

Utworzenie Sceny Pantomimy jest ciekawą propozycją, ale wymagającą od aktorów-amatorów dużej pracy i doskonałości technicznej. A dla widza jest trudne w odbiorze.

Ciekawym zjawiskiem jest fakt narodzin wielu teatrów studenckich, sięgających właśnie do gatunku pantomimy. Jest ich około dziesięciu w Polsce, z tych trzy brały udział w IX Łódzkich Spotkaniach Teatralnych. Wydaje się, że walory intelektualne tej gałęzi sztuki, pasje poszukiwań formalnych, decyduje o wyborze właśnie pantomimy. Może więc dopiero przyszłość wykaże nam, czy te ścieżki poszukiwań teatrów studenckich doprowadzą na słuszną drogę.

ANNA OMULECKA

TEATR

BRYLL SKUSZANKI i Szekspir Swinarskiego

Oglądałem dwa z przedstawień krakowskich zaprezentowanych na VIII Warszawskich Spotkaniach Teatralnych: nową sztukę Ernesta Brylla **„Co się komu śni"** („Życie jawą") w wykonaniu Teatru im. Juliusza Słowackiego i głośną inscenizację Teatru Starego im. Heleny Modrzejewskiej — szekspirowskiej komedii **„Wszystko dobre, co się dobrze kończy"** (All's Well That Ends Well).

Odniosłem wrażenie, że oba przedstawienia różnią się diametralnie stosunkiem do tekstu autorskiego. Skuszanka podchodzi do materii literackiej Brylla ostrożnie, niemal ją celebrując. Swinarski atakuje Szekspira gwałtownie, namiętnie, z wiarą, że sprzeniewierzając się nawet literze tekstu, pozostaje wierny jego duchowi.

Tak się złożyło, że sztukę Brylla poznałem najpierw ze sceny, a potem ją dopiero czytałem. Ta kolejność spowodowała, że ex post rewidować musiałem uczucie pewnego zawodu w stosunku do autora, jakie towarzyszyło mi przy opuszczaniu teatru.

U E. Brylla aktorzy przygotowują się w prologu do przedstawienia na oczach widzów, wkładają kostiumy, by w epilogu zdjąć je, znów w przytomności widowni, stając się „prywatnymi" ludźmi. W ten sposób autor akcentuje, że następujące po sobie na zmianę przejścia ze snu w jawę i z powrotem są wszystkie razem wzięte rzeczywistością teatralną, zmyśloną, odegraną, a nie rzeczywistą. Stanowią zatem sztuczną konstrukcję, pozwalającą prawdę życiową zagęszczać, redukując ją jednocześnie do czynników elementarnych. Skuszanka usuwa ten cudzysłów autorski, przenosząc go do sfery domysłu. Z tym można by się zgodzić.

Więcej oporu budzą w takim ujęciu kostiumy. Wraz ze scenografem reżyser ubiera postaci dworskie sztuki w barokowe stroje hiszpańskie (wyjątek stanowią żandarmi w papachach i czarnych szamerowanych kapotach, przypominających kaukaskich dżigitów), przez co odsyła nas w dość określoną epokę, a tym samym zawęża ponadczasową wymowę metaforyki Ernesta Brylla. Daje to w efekcie pewne złagodzenie aktualnej wymowy sztuki, działa, jak zasunięcie tiulowej, zmiękczającej przesłony na jej wyraźną w konturze i chwilami drapieżną aluzyjność.

Tak potraktowana wizja sceniczna — piękna malarsko, sprawnie puszczona w ruch, poetycka i dowcipna — nie poszerza interpretująco oryginału literackiego i jest w stosunku do niego wystudzona. Na końcu języka mam określenie, że spektakl zmierza ku akademickości, choć w odniesieniu do Krystyny Skuszanki, artystki niespokojnej i poszukującej, zabrzmi to jak herezja.

A tymczasem moralitety, jakie Ernest Bryll wpisuje naszemu narodowi do sztambucha, są gorące i bynajmniej nie grzeczne. Wyrastają z wielkiej tradycji polskiej poezji romantycznej, która w narodowym rozrachunku nie zwykła była schlebiać i usypiać sumień, lecz przemawiała z żarem zaprawionym goryczą. „Co się komu śni" jest w zamyśle autorskim sztuką ostrą i zgrzytliwą. Kontredans władzy przechodzącej dwukrotnie z rąk króla — profesjonalisty (Sługa — sług) w ręce Chłopa i Baby, powiedzielibyśmy, władców — amatorów, nie wolny jest od pogłosów bolesnych doświadczeń polskich.

O ile przedstawienie Skuszanki nacechowane było umiarem i powściągliwością w odczytaniu Brylla, o tyle Konrad Swinarski czyta Szekspira jak psychoanalityk, skupiając się głównie na przemilczeniach i wieloznacznościach tekstu. Te pozorne luki w dziele literackim wypełnia bogactwem teatralnych znaków głównie pozadialogowych, choć i dialog — dzięki współczesnemu przekładowi Macieja Słomczyńskiego — pomaga rozszyfrować po nowemu zagadki rozsiane w sztuce.

„Wszystko dobre, co się dobrze kończy" jest komedią rzadko wystawianą. Napisana prawdopodobnie w 1603 roku, więc już po „Snie nocy letniej" i „Wieczorze Trzech Króli", ustępuje z pewnością tamtym wspaniałym komediom pomysłowością fabuły. Sprawia wrażenie jakby niedopracowanego materiału, który więcej zapowiada, niż jest w stanie podźwignąć. Ociera się też ta komedia o dramat, ale o dramat przyziemny, bardziej cielesny niż duchowy, wyzbyty wszelkiej patetyczności.

Nie ma tu idealnej i czystej miłości, jak choćby w „Romeo i Julii", jest natomiast coś z atmosfery zamtuzów i stręczycielstwa, z mrocznych namiętności ludzkich. Ciekawe, że tak właśnie pojmowaną miłość rezerwuje Szekspir dla komedii...

Swinarski idzie zdecydowanie tym tropem, dopisując obrazem scenicznym to, czego pisarz nie dopowiedział, co mógł mieć w zamyśle.

Przedstawienie rozpoczyna się od beztroskiego baraszkowania młodego Bertrama z przyjacielem Parollesem. Ale zabawa ta i pocałunki dalekie są od bezgrzesznych.

Śmiałym wyjściem poza doskonałość tekstu jest też scena gwałtu kobiety florentyńskiej przez zwycięskich żołdaków Bertrama przy jego samego czynnym współudziale. W pełnym jurności i niczym nie upiększonym obrazie teatr domaga się prawa, które literatura wywalczyła sobie dawno: do mówienia wprost o tym co leży w ludzkim doświadczeniu.

Ledwie hamowane żądze ujawniają się w przedstawieniu Swinarskiego co moment. Oto stara i dostojna hrabina Rousillionu łaskocze strusim piórkiem nagi tors pazia. Albo Helena, walcząca bez dziewiczego wstydu o Bertrama, nasycona niczym nie poskromioną namiętnością, nie bez zadowolenia ogląda pokaz gry mięśni w wykonaniu dwóch kulturystów. Wreszcie pogardzający Parollesem stary hrabia Lefeu nie kieruje się znów tak czystymi intencjami, gdy próbuje oderwać go od Bertrama: sam wyraźnie ulega urokowi Parollesa i odczuwa grzeszną rozkosz w poniżaniu go i policzkowaniu.

Przykłady można by mnożyć. Wspomnieć jeszcze należy soczysty, pełen fanatycznego samounicestwiania się sceniczny pochód pątników, w którym wkład reżysera w materię literacką raz jeszcze błysnął maestrią.

Dwa spektakle, dwa sposoby odczytania tekstu literackiego i dwa formaty przedstawień. Oto jakie wrażenia wyniosłem z Warszawskich Spotkań Teatralnych.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie: Ernest Bryll „Co się komu śni", moralitet w dwóch aktach: reżyseria — Krystyna Skuszanka; scenografia — Kazimierz Wiśniak; muzyka — Adam Walaciński; plastyka ruchu scenicznego — Jan Uryga; opracowanie wokalne — Franciszek Barfuss

Teatr Stary im. H. Modrzejewskiej w Krakowie: William Szekspir „Wszystko dobre, co się dobrze kończy"; przekład — Maciej Słomczyński; reżyseria Konrad Swinarski; scenografia — Kazimierz Wiśniak; muzyka — Stanisław Radwan

MI. 6 contra Abwehra (3)

„UDERZENIE O GODZINIE PIĘTNASTEJ!"...

Dla aliantów, przygotowujących generalne uderzenie, zachowanie tego faktu w najgłębszej tajemnicy było sprawą niezwykle żywotną. Właśnie w tym czasie, 19 lutego 1944 roku, admirał Canaris został odwołany ze stanowiska szefa Abwehry i statek pozostał bez sternika. Trudne i skomplikowane zadanie kierowania wywiadem przejął płk von Roenne, szef biura wywiadu najwyższego dowództwa.

Jeśli Roenne doszedł do wniosku, że główną uwagę i wysiłki skierowali alianci na Pas — de — Calais, to nie było to wyłącznie wynikiem jego intuicji i przemyśleń. Myśl tę zasugerowali mu alianci tworząc fałszywą wersję planu uderzenia, opracowaną ze szczególną starannością. Był to plan „sztuczny", bardzo złożony, doskonale maskujący militarne intencje sprzymierzonych.

Ogólny projekt tego planu obejmował dwie oddzielne części, o różnych hasłach kodowych: „Bodyguard" i „Fortitude". Pierwszy plan — „Bodyguard", zawierał „zafałszowaną strategię" aliantów w Europie i musiał w konsekwencji narzucić naczelnemu dowództwu niemieckiemu błędne decyzje. „Fortitude" był natomiast tak opracowany, by przekonać Niemców, że wąskość Kanału La Manche zmusza aliantów do uderzenia na najbliższy brzeg francuski.

Tą koronkową robotą, wykonywaną z niezwykłą starannością i wielkim nakładem kosztów, kierował John Bevins, pod osobistą kontrolą gen. Ismay'a, szefa sztabu Churchilla. Tu właśnie rodziły się wszystkie podstępy i wszystkie przynęty, tu tworzono barwny świat iluzji, w którym rozgrywały się zmyślone wydarzenia, a ich fikcyjni bohaterowie działali w nie istniejących sytuacjach, które powinny egzystować tylko w umysłach Niemców. Wielu brytyjskich agentów wywiadu skierowano do wykonania planu, opracowanego przez biuro Bevinsa, a służba kontrwywiadu MI. 6 — odegrała w tym decydującą rolę. Fałszywe informacje przedostawały się do Niemców „przypadkiem", wskutek „niezręczności i niedyskrecji" dyplomatów, bardzo zresztą ostrożnej i skąpo dawkowanej oraz bezpośrednio przez kanały agentów wywiadu brytyjskiego i amerykańskiego, rozstawianych w Hiszpanii, Portugalii, Szwajcarii, Szwecji i Turcji.

1 kwietnia 1944 roku MI. 6 „podrzuciła" Niemcom fałszywą informację o koncepcji uderzenia aliantów na linii Amiens-Tuluza — Orlean — Limoges oraz Bordeaux — Tarascon z jednoczesnym lądowaniem w Hiszpanii i wkroczeniem do Francji przez Pireneje.

Płk von Roenne ocenił tę informację, przekazaną mu usłużnie przez hiszpańskiego generała Moscardo, jako idiotyczną i odłożył ją ad acta. Wolał zaufać swemu innemu agentowi, który świeżo powrócił ze Szwajcarii i poinformował go, iż zdaniem gen. Westa, niemieckiego attache wojskowego w Bernie, wszystkie przewidziane plany inwazji sprzymierzonych w 1944 roku będą odroczone wskutek różnicy zdań między Anglikami i Amerykanami co do szczegółów inwazji.

Niemcy nie wzięli natomiast pod uwagę informacji przejętej przez Abwehrę, którą zawierała tajna korespondencja szwedzkiego attache wojskowego. Wynikało z niej, iż głównym celem uderzenia aliantów będzie Normandia, a lądowanie nastąpi między 15 maja a 15 czerwca. Ale informacja ta nie mieściła się w konkluzjach Hitlera i jego adiutantów, i zaprzeczała wnioskom, do których doszedł von Roenne. W maju 1944 roku Niemcy doszli do ostatecznej konkluzji, iż miejscem głównego uderzenia będzie Pas — de — Calais.

Niemcy mylili się również co do daty inwazji. 4 czerwca 1944 roku wiceadmirał Krancke, głównodowodzący flotą morską we Francji, podzielił punkt widzenia swoich kolegów: „Należy wątpić, żeby wróg zdążył zgromadzić wystarczająco potężną flotę inwazyjną". A nazajutrz rano marszałek von Rundstedt, podzielając ocenę wiceadmirała Krancke, tak sprecyzował swój wniosek w miesięcznym raporcie o sytuacji na froncie: „Nie ma dziś żadnych podstaw, by sądzić, że inwazja może nastąpić w najbliższym czasie"...

Na froncie zachodnim panował więc pełny optymizm. Wiceadmirał Krancke wstrzymał 5 czerwca nocne patrole morskie w Kanale La Manche, uwzględniono wszystkie raporty oficerów z prośbą o przepustki. Gen. Dollmann zaplanował na 6 czerwca wielkie manewry w rejonie Rennes, a marszałek Rommell był tak daleki od myśli o inwazji aliantów, że 5 czerwca opuścił swoją kwaterę główną we Francji i udał się do Turyngii na rocznicę urodzin żony...

A jednak, mimo nadzwyczajnych środków ostrożności i fali fałszywych informacji, kolportowanych przez wywiady: angielski i amerykański, wiadomość o zbliżającym się uderzeniu aliantów przeniknęła na zewnątrz: „Nie wiedzieliśmy — napisał w swych „Pamiętnikach" gen. Warlimont, adiutant Jodla — że od stycznia 1944 roku admirał Canaris był w posiadaniu ważnej informacji. Oto na krótko przed lądowaniem sprzymierzonych w Normandii, do dowództwa Francuskiego Ruchu Oporu nadano z Anglii, przez radio, zakodowane hasło, składające się z dwóch części. 5 czerwca, po południu, niemiecki kontrywiad powiadomił Jodla, że poprzedniej nocy sekcja wywiadu XV armii von Rundstedta przechwyciła w podsłuchu drugą część tego hasła. Jednakże z naszej strony żadnych akcji nie podjęto"...

Było to, jak dziś wiadomo, hasło, sygnalizujące rozpoczęcie inwazji. Można by więc sądzić, że jest to tylko anegdotyczne wspomnienie gen. Warlimonta. Nic podobnego...

Zacząłem poszukiwać dokumentów — pisze Ladislas Farago — tyczących się tego wyczynu Abwehry, dzięki któremu naczelne dowództwo niemieckie zostało ostrzeżone o lądowaniu aliantów. Znalazłem je nienaruszone w archiwach niemieckiego sztabu generalnego w trzech osobnych teczkach. Pierwszy dokument, datowany z października 1943 roku i dwa następne z 2 i 4 czerwca 1944 roku. Wszystkie pochodziły od pułkownika Oscara Reile, oficera Abwehry w Paryżu. W pierwszym raporcie Reile opisuje wydarzenie, które miało miejsce 3 października 1943 roku: pewien mężczyzna, wymieniony jako dowódca francuskiej organizacji sabotażowej, kierowanej z Anglii, został aresztowany przez agentów Reila i wyjawił w czasie śledztwa hasło, które miało zapowiadać początek lądowania. Była to jedna strofa jakiegoś wiersza.

Reile, sam poeta, zorientował się od razu, że jest to wyjątek z poematu Verlaine'a. Kilka dni później inny dowódca oddziału ruchu oporu, także aresztowany przez Abwehrę we Francji, potwierdził tę informację. Reile zredagował więc specjalny raport, w którym podał szczegóły z przesłuchania obu Francuzów: „Pierwsza część wyjątku wiersza, aż do słów „jesień" włącznie zostanie nadana przez radio brytyjskie, pierwszego i piętnastego określonych miesięcy. Nadanie przez radio drugiej części wyjatku wiersza będzie oznaczało, że lądowanie nastąpi w przeciągu najbliższych 48 godzin"...

2 czerwca 1944 roku, gdy Abwehra znajdowała się już w rękach nazistów, płk Reile wysłał pilny radiotelegram, informując, że nadszedł już moment krytyczny. Donosił on dalej, że radiostacja w Daventry nadała kilkakrotnie dnia 1 czerwca 1944 roku, między godz. 13,30 a 14,30 pierwszą część hasła, przeznaczoną dla pięciu grup Francuskiego Ruchu Oporu. Reile zawiadamiał także swoich przełożonych z Abwehry, że dnia 3 czerwca została nadana druga część hasła, pięciokrotnie, między godziną 12 a 14. Reile rozszyfrował to hasło. Brzmiało ono: „Uderzenie o godzinie 15-tej". — „Godzina walki nadeszła". — „Panowie, wykonujcie swoje zadania". — „Na moją komendę — baczność!"

Rozesłał on 23 kopie swego pierwszego raportu (z października 43 r.). Jedną do kwatery głównej — marszałka von Rundstedta, a pozostałe do generałów niemieckich, dowodzących wojskami we Fracji, w Belgii, Kraju Basków, w Danii i Norwegii, a także do kwatery głównej marszałka Rommla. Dwa następne raporty, z 2 i 4 czerwca 1944 roku, wysłał Reile do pułkownika von Roenne, do sekcji wywiadu sztabu generalnego naczelnego dowództwa i do pułkownika Dietringa, oficera wywiadu przy sztabie dowództwa marszałka von Rundstedta.

Jednakże wszystkie pierwsze kopie raportu trafiły do biura gen. Jodla, gdzie zarejestrowano je skrupulatnie i odłożono do segregatorów Taki sam los spotkał kopie w biurze pułkownika Roenne w Zossen.

Ostatni pilny raport Reila, datowany z 4 czerwca 1944 roku, skwitował Dietring następującą notą służbową: „Poprzednie oceny sytuacji nie uległy zmianie. Dziś także przyjmuje się za prawdopodobne, iż front inwazyjny rozciągnie się na linii Scheldt — Normandia — Bretania. Jednakże „inwazja" nie wydaje się bliska". To ujęcie słowa: inwazja w cudzysłów wskazuje, że szef wywiadu kwatery głównej marszałka Rundstedta we Francji niewiele sobie robił z zagrożenia przez sprzymierzonych.

Przekonany, że w przeciągu najbliższych dni nie wydarzy się nic szczególnego, Dietring zdecydował się na krótki urlop. Zaraz po rozesłaniu raportu o sytuacji z ostatniej chwili, opatrzonego własnymi komentarzami, wyjechał i znajdował się daleko od swego biura wywiadu, od swoich telefonów i od swoich map, kiedy alianci... lądowali w Normandii!

Inwazja rozpoczęła się 6 czerwca między godziną 1.30 a 2 rano. Führer spał tego ranka bardzo twardo i nikt się nie ośmielił przerwać mu snu. Dopiero o 5 po południu, gdy na wybrzeżu Normandii wylądowało już 130 tysięcy żołnierzy, wspomaganych huraganowym ogniem setek okrętów, Hitler zareagował, wydając pierwszy rozkaz do kontruderzenia.

W Zossen, płk von Roenne nie był poruszony faktem, że alianci wylądowali w Normandii, a nie jak przewidywał w Pas-de-Calais. Tak głęboko wierzył we własną ocenę sytuacji, że 9 czerwca, kiedy Anglicy i Amerykanie już od 72 godzin byli w Normandii, skierował do gen. Jodla specjalny komunikat, w którym zapewniał go, że lądowanie aliantów w Normandii należy uważać za manewr... dywersyjny. „Generalnego uderzenia — pisał w komunikacie — należy oczekiwać lada chwila w Pas-de-Calais..."

21 czerwca, piętnaście dni po rozpoczęciu inwazji sprzymierzonych, nazistowska służba wywiadowcza osiągnęła nie lada sukces: jeden z agentów Abwehry w Anglii przekazał do centrali dokument, który miał być rzekomo kopią planu „Neptun", autentycznego projektu lądowania aliantów w Normandii. W rzeczywistości tekst tego „dokumentu" był doskonałą transkrypcją planu „Neptun", z którego usunięto duże ustępy oryginału. Anglicy po prostu przekazali go Niemcom przez własnego podstawionego agenta, kiedy plan ten przestał być w ogóle użyteczny, a zależało im, żeby ów agent cieszył się zaufaniem Abwehry do ostatniej chwili.

Kiedy „plan" dotarł do rąk płk Dietringa, na marginesie tego falsyfikatu zamieścił on odręczny komentarz: „Jest to błyskotliwe osiągnięcie szpiegowskie. Miałoby ono jednak większą wartość, gdyby ten ważny dokument dotarł do nas przed 6 czerwca...".

Oprac. J. CZECH

ŁODZIANIE 1972

(KUPON PLEBISCYTOWY)

1. Leon Gomolicki	
2. Paweł Kowalski	
3. Zofia Mitukiewicz	
4. Leszek Rózga	
5. Stefania Skwarczyńska	
6. Bogusław Sochnacki	
7. Ryszard Stanisławski	
8. Jerzy Werner	
9. Zdzisław Wyrzykowski	
10. Aleksander Zwierko	

Nazwisko i imię . . . . . .

Adres . . . . . .

Zawód . . . . . .

Kultura na świecie

SAINT-JOHN PERSE, CONRAD I MORZE

„...morze jest dla mnie żywiołem. Jakby zmieszało się z moją krwią i wreszcie całkiem mną zawładnęło" — pisał Saint-John Perse do Conrada, zwierzając mu się ze swego umiłowania morza, opętania przez morze. Na początku owego listu, pisanego w Pekinie w dniu 26 lutego 1921 r. francuski poeta wspomina, zdaje się niezbyt dawne, chwile spędzone z Conradem:

„Jeszcze pochylam się wraz z Panem nad starym rodzinnym albumem. Widzę całe Pańskie polskie dzieciństwo. Słyszę jeszcze recytację pierwszych strof „Jumblies" Edwarda Leara. Zapewniał mnie Pan, że znajduje Pan w nich ducha wielkiej przygody, większego niż u najlepszych autorów-marynistów jak Melville. Słyszę jeszcze jak irytuje się Pan moją pasją dla Dostojewskiego i moim brakiem zainteresowania dla Turgieniewa. Zadziwia mnie Pan przyznając się do tego, że najulubieńszymi Pana francuskimi autorami są Molier i Zola".

Saint-John Perse i Conrad! Obydwaj pisarze i obydwaj miłośnicy morza i przez morze opętani. Ale już choćby z przytoczonego fragmentu listu widać jak bardzo w istocie różniły się ich gusta. Nic dziwnego. Dyplomata Saint-John Perse i pracownik morza Conrad. Różne światy.

Osiemdziesięciopięcioletni dziś Saint-John Perse, którego właściwe nazwisko brzmi: **Alexis Saint-Léger.** Léger, poeta, laureat literackiej nagrody Nobla (1960), urodził się w Saint-Léger-les-Feuilles na wysepce leżącej u wybrzeży Gwadelupy. Wyspa ta słynna z uprawy trzciny cukrowej, kawowców i kakaowców należała niegdyś do jego przodków.

Młody Alexis opuszcza rodzinną wyspę, sprzedaje dziedzictwo by osiąść na stałe we Francji. Po studiach w Bordeaux wstępuje do francuskiej służby dyplomatycznej. Na swą pierwszą placówkę dyplomatyczną wyjeżdża do Chin. Równocześnie pisuje poematy, które podpisuje pseudonimem **Saint-John Perse.** Debiutuje w roku 1909 **„Obrazami dla Robinsona Kruzoe"**, w których zawarł wiele elementów autobiograficznych, zwłaszcza wspomnień z dzieciństwa i wczesnej młodości spędzonych na rodzinnej wyspie. Jego twórczość charakteryzują nowatorskie pomysły poetyckie, zaskakujące metafory. Jest i pozostanie poetą wielbiącym morze, słońce, wiatr, żywioły natury, deszcz, przypływy i odpływy morza, przyrodę z jej bujną roślinnością, ludzi pod niebem i słońcem Gwadelupy. Do najwybitniejszych dzieł Saint-John Perse'a należą: **„Pochwały", „Anaba-za", „Wygnanie", „Deszcze", „Śniegi", „Wiatry".** Człowiek olbrzymiej wiedzy, przekulturowany poeta, wizjoner i piewca morza, zapomnianych cywilizacji, starych budowli, zatartych dawno dróg, Saint-John Perse konstruuje swój własny poetycki świat, w którym dominantem jest morze.

Rok 1939 zastał go na stanowisku sekretarza generalnego francuskiego MSZ. W roku 1940 kolaboracyjny rząd w Vichy pozbawia Saint-John Perse'a francuskiego obywatelstwa, a gestapo konfiskuje i niszczy rękopisy siedmiu lirycznych dzieł. Poecie udaje się uciec z Francji. Do końca wojny przebywa w Stanach Zjednoczonych, skąd po wojnie wraca do Paryża.

Przypomnijmy teraz krótko dzieje naszego rodaka **Teodora Konrada Józefa Korzeniowskiego,** angielskiego pisarza **Conrada.** Urodził się w roku 1857 (był więc o trzydzieści lat starszy od Saint-John Perse'a) w rodzinie szlacheckiej. Ojciec jego zostaje przez władze carskie zesłany do Wołogdy za działalność konspiracyjną. Młody Korzeniowski ma lat pięć gdy wyjeżdża wraz z rodzicami. Wkrótce umiera matka. Ojciec wraca po kilku latach, zatrzymując się najpierw we Lwowie, później w Krakowie. Ale mając lat dwanaście Teodor Konrad Józef zostaje zupełnym sierotą. Po śmierci ojca opiekuje się nim wuj. Gdy Korzeniowski ma lat siedemnaście realizuje swe marzenia dziecięce zostania marynarzem i w Marsylii dostaje się na statek. Odtąd już przez lat dwadzieścia będzie żeglował po morzach świata. Od roku 1878 pracuje na statkach angielskich, a po odpowiednim przeszkoleniu zostaje oficerem i otrzymuje brytyjskie obywatelstwo. Osiadłszy później, po przebyciu malarii, w Anglii, zdobywa sławę pisarza. Debiutuje powieścią **„Szaleństwo Almayera"** wydaną w roku 1895. Głównym, choć bynajmniej nie jedynym tematem jego licznych powieści i jeszcze liczniejszych nowel jest życie i praca na morzu. Morze jest dla Conrada warsztatem pracy, scenerią gdzie człowiek toczy ciężką walkę z naturą, lub dzikim, najczęściej okrutnym środowiskiem. I tu na morzu sprawdza się istotna wartość człowieka, jego siła charakteru, jego morale i wreszcie jego wierność samemu sobie.

Joseph Conrad umiera w roku 1924, pozostawiając po sobie wiele książek pisanych w języku angielskim, które zdobyły sobie wielkie uznanie i licznych czytelników. Tłumaczone były na wiele języków.

Ale wróćmy do korespondencji między francuskim poetą a naszym rodakiem. Zawsze ciekawy świata Conrad pytał Saint-John Perse'a o Chiny, gdzie tamten pełnił w Pekinie swą misję dyplomatyczną. Saint-John Perse się dziwi. Według niego jest to kraj tak typowo lądowy, że nie powinien wzbudzać zainteresowania człowieka morza. Saint-John Perse twierdzi w swym liście, że Chińczycy nie lubią morza. Nawet gdy muszą pracować na wodzie zachowują się tak, jakby byli na lądzie. Chiny to kraj wieśniaków i drobnych rzemieślników — mówi Saint-John Perse. Ale nie te uwagi są najciekawsze w liście francuskiego poety. Zaskakujące są jego opinie i uwagi na temat lądowych obszarów azjatyckich, zwłaszcza pustynnych. Właśnie w nich nie mających przecież nic wspólnego z obszarem wodnym, Saint-John Perse upatruje podobieństwo do morza, a u ludzi tamtejszych dostrzega tęsknotę za nigdy niewidzianym morze. Piaski pustynne, według francuskiego poety, są najpiękniejszą ułudą morza, jaką można sobie tylko wyobrazić. Oto odwrotność i widmo morza. W samym sercu pustyni koń i jeździec zawsze zwracają się instynktownie ku dalekiemu morzu, jakby czuli zapach morskiej soli niesiony przez wiatr. Cała liturgia starych religii mongolskich czy tybetańskich — twierdzi Saint-John Perse — nasycona jest symboliką morza i w gruncie rzeczy jest jego wspomnieniem i ewokacją. Ozdobami ołtarzy są często muszle, masa perłowa i korale.

A wózki nomadów? Niekiedy są ożaglowane, tak by je popychał wiatr. Przypominają żywo łodzie.

W zakończeniu swego listu do Conrada francuski poeta zwierza się naszemu rodakowi, że dopiero na przestrzeniach lądowych uświadomił sobie swe opętanie morzem, które staje się obsesją. **„Nigdy tak dobrze nie rozumiałem tego jak właśnie wtedy, gdy byłem daleko od morza, jak bardzo morze jest w nas samych. I kto oddala się od morza, oddala od samego siebie".**

List Saint-John Perse'a do Conrada nigdy dotąd nie publikowany, zamieścił ostatnio paryski dziennik **„Le Figaro"** w swym dodatku literackim. A druk ten przypomniał równocześnie naszego rodaka piszącego po angielsku.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

PRZEOZŁOŚĆ teraźniejszość

BIOGRAFISTYKA

W redakcji jednego z naukowych periodyków historycznych dyskutujemy w gronie autorów, z których każdy ma na swoim koncie choć jedną większą pracę o charakterze biograficznym. Jest więc wśród nas historyk, który oddał już do druku monografię o Józefie Piłsudskim, jest publicysta, który niedawno ogłosił biograficzne dziełko o Romanie Dmowskim, jest autor pracy o prezydencie Warszawy Stefanie Starzyńskim, która powinna ukazać się za kilka miesięcy, jest tu historyk ruchu robotniczego, który jest współautorem bądź autorem kilku opracowań biograficznych. Są inni historycy, a wśród nich znany badacz czasów Stanisława Augusta i autor opublikowanej przed kilkoma laty książki o Bolesławie Chrobrym. Było to grono specjalistów od różnych epok, zajmujących się dziejami Polski od czasów najdawniejszych po najnowsze, dyskutujących nad aktualnymi problemami historycznej biografistyki.

Zebrało się ich wcale sporo. Całkiem jeszcze niedawno wielu poważnych nawet uczonych głosiło pogląd, że we współczesnym dziejopisarstwie książka biograficzna jest anachronizmem, reliktem, dawno przebrzmiałych inspiracji metodologicznych, a prawdziwie nowoczesna nauka historyczna winna się z nią raz na zawsze pożegnać i zwrócić się ku innym, rzeczywiście naukowym, a w każdym razie nie biograficznym formom ujmowania zjawisk przeszłości. Ta popularna niegdyś postawa nie wytrzymała konfrontacji z rozwojem nowoczesnego dziejopisarstwa. Z jednej strony pojawiło się mnóstwo wybitnych dzieł biograficznych, którym nie można już było zarzucać nienadążania za wymaganiami, jakie stawia przed autorem nowoczesna nauka historyczna, z drugiej zaś, nowsza refleksja metodologiczna rozwiała niewczesne obawy, że biografistyka prowadzi nieuchronnie do wypaczonego, jednostronnego oglądu dziejów. I jak to często bywa, okazało się, że linia podziału przebiega nie pomiędzy historią biograficzną, jako rzekomo gorszą i mniej naukową, a niebiograficzną, z założenia doskonalszą i bardziej naukową, ale po prostu między dziejopisarstwem dobrym i złym, z których każde może sięgać po najróżniejsze formy wypowiedzi, wśród nich zaś również i biografię. Nie oznacza to jednak, aby przebrzmiał konflikt, jaki istnieje między tym, co za biografię historyczną uważa historyk, a tym, co cieszy się największą popularnością wśród czytelników i wydawców, mianowicie zbeletryzowanym opowiadaniem biograficznym, często niezmiernie odległym od przedstawienia dziejowej rzeczywistości. Nie od dziś historycy nie kochają popularnych „vies romancées", i nie od dziś skrycie zazdroszczą popularności ich autorom, tym samym, którym przy lada okazji wytykają mnóstwo pomyłek i uproszczeń.

Nauka historyczna coraz częściej prezentuje nam dziś nowe rodzaje biografii historycznych. Oprócz tradycyjnych, poświęconych postaciom dziejowym, dostajemy dziś do ręki biografie zbiorowości, czy to będą tak zwane biografie generacyjne, poświęcone jednemu pokoleniu, czy takie, które ogarniają jedno środowisko jakiegoś czasu. Przykładami takich nowszych ujęć, o charakterze niewątpliwie biograficznym, była u nas chociażby znana książka Aliny Witkowskiej o pokoleniu rówieśników Adama Mickiewicza, czy znakomite dzieło historyka, Bogusława Leśnodorskiego o polskich jakobinach. Ten zgoła nietradycjonalny rodzaj biografistyki zaczyna już owocować także na innych polach historii. Dysponujemy zbiorem biografii działaczy i członków Towarzystwa Demokratycznego Polskiego z okresu Wielkiej Emigracji, posiadamy analogiczne opracowanie dotyczące polskich uczestników Rewolucji Październikowej, daleko zaawansowane są prace nad słownikiem biograficznym działaczy polskiego ruchu robotniczego. Podobnych inicjatyw jest zresztą znacznie więcej. Biografistyka zbiorowości, grup społecznych, politycznych, zawodowych i tak dalej ma coraz więcej do powiedzenia we współczesnej nauce historycznej, pozwala nam przezwyciężać anonimowość badanych zjawisk i procesów, dostarcza bezcennego materiału do rozważań najbardziej nawet syntetycznych.

Zmienia się także kształt tradycyjnej biografii jednostkowej. Nie jest tego przykładem książka A. Micewskiego o R. Dmowskim, pozostająca w kręgu tradycyjnego ujmowania biografii, ale można tu powołać wiele prac, które przez pryzmat spraw jednostki starają się ukazać szeroki społeczny kontekst jej działalności, dla których biografia staje się kluczem do zgłębienia szerszych zjawisk społecznych, tych właśnie, których tradycyjna, wąsko rozumiana biografistyka nie była władna dojrzeć. Jednym z wzorów takiego, nowoczesnego, a przecież niewątpliwie biograficznego ujęcia, jest opublikowana właśnie przez Tadeusza Łepkowskiego przepiękna książeczka „Piotr Wysocki" (Wiedza Powszechna 1972). Jest ona w istocie pracą o pokoleniu listopada 1830 r., tego, które — jak powiada autor — przeszło do „ojczystej historii jako drugie z kolei w ciągu generacji pragnących „wybić się na niepodległość". Książka, nad którą warto będzie się zastanowić także z innych względów.

A więc po latach odsądzania od czci i wiary, następuje nawrót do zainteresowania biografistyką? Niechybnie, ale nie jest to — jak widzimy — krok wstecz. Owe niegdysiejsze krytyki, z których dziś tak łatwo nam podrwiwać miały przecież jakiś sens: one to właśnie wpłynęły na to, że dzisiejszy kształt historycznej biografistyki jest bardzo odmienny od dawniejszego.

LEKTOR

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY

Zdarzeni A • I • Zwierzeni A

ŻURNALISTA WYKPIONY

Jerzy Wittlin kpił już sobie na kartach kolejnych vademecum z: grafomanów, szefów, zakochanych, nerwowych, petentów, podróżujących... Obecnie z utęsknieniem czekam na książkę Wittlina: „Vademecum dla piszących vademecum". W tym względzie Wittlin ma doświadczenie najbogatsze.

Podobną próbę podjął przed laty pewien autor tekstów piosenek, który na jednym tzw. szlagworcie napisał trzy utwory: „Gdy madisona zaczną grać", „Gdy kaszkę mannę dziecko je" oraz „Gdy moja babcia w brydża gra". Niestety, choć perspektywy przed tym piosenkarskim serialem były olśniewające, autor znudził się i dał spokój. Ktoś mu zresztą przypomniał, że przed wojną znany był przebój „Gdy nie wiesz, o radę serca zapytaj".

Jerzy Wittlin jednak się nie poddaje. Napisał już dziewięć „vademecum" i, jak wieść niesie, pisze dalsze. No i dobrze, no i na zdrowie, jak mawiał poeta. Zajmijmy się najnowszym, czyli „Vademecum żurnalisty"

Od razu zapowiem, że kolejną książkę Wittlina czekają duże sukcesy recenzenckie. Do tradycji przeszło już bowiem ciepłe recenzowanie kolejnych „Vademecum", a ponieważ trwa to już tyle lat, nikt się przecież z tradycji wyłamywał nie będzie. Dlatego z niewielką szkodą dla tej dwustustronicowej książki mogę napisać, że jest ona po prostu nudna. Rzecz się chyba sprowadza do błędnego założenia. Wittlin bowiem wymyśla dla żartu to, co już zostało wymyślone na serio. Wittlin przypomina mi konferansjera, który, pękając ze śmiechu, opowiada znany dowcip. Jak wiemy jednak — najśmieszniejsze są te dowcipy, które opowiada się z kamienną twarzą.

W swoim czasie Zbigniew Isaak wydał książeczkę przedruków z prasy krajowej. Był tam rzeczywiście żurnalista wykpiony, ale Isaak podał te „kawałki" z kamienną twarzą — bo też te humorystyczne notatki, lapsusy językowe, czy karkołomne wywody logiczne pisane były serio, nie dla hecy. Ich humor był niezamierzony, ale autentyczny i więcej było w nich kpiny niż w wymyślonych opowiastkach Wittlina.

Czasem jednak Wittlin trafia w dziesiątkę, ale tylko wówczas, gdy kopiuje styl i metody prasy. Oto przykład. Jaki trzeba dać tytuł gdy nasza sztafeta sklasyfikowała się na przedostatnim miejscu? — **Wyprzedziliśmy Brazylię.** A gdy nasza sztafeta sklasyfikowała się na ostatnim miejscu? — **W tym biegu nie liczył się wynik.** Jest to śmieszne, ale dlatego, że to po prostu zwykłe lustro naszych doniesień sportowych. W chwili, gdy Wittlin przystawia „krzywe zwierciadło satyry", żarty przestają być śmieszne.

Jeśli ktoś w dobrej wierze i w intencjach najlepszych przegiął pałkę, to mówi się potocznie, że „przefajnował". Wittlin właśnie przefajnował swoją książkę. Bo cóż może wymyśleć satyryk w dziedzinie gazetowych tytułów? Zgoła niewiele.

Oto depesza agencyjna, donosząca o prognozach prof. Barnarda, który twierdzi, że niedługo będzie się ludziom przeszczepiać serce świni. Tę depeszę łódzka gazeta opatruje tytułem: „Dawcą serca będzie trzoda chlewna". Co satyryk może w tej sytuacji wymyśleć zabawniejszego? A Jerzy Wittlin uparł się, że będzie bardziej humorystyczny niż ci panowie, którzy piszą serio. Humor Wittlina jest bladziutki wobec niezamierzonego humoru prasy.

„Wszystko w tej książce jest wytworem czystej fantazji — pisze na wstępie Jerzy Wittlin. — Na długo przed przystąpieniem do pracy nad niniejszym „Vademecum", a następnie przez cały okres pisania nie wziąłem do ręki żadnej gazety..." Wittlin czyni te zastrzeżenia z przymrużeniem oka, niejako daje do zrozumienia jak ci autorzy książek z kluczem, że to, panie dzieju, czysta prawda, tylko konwencja każe bajać o fikcji... Niestety. Nuda tej książki polega na tym, że Wittlin ma rację i niepotrzebnie puszcza oko. Bo to jest istotnie wytwór czystej fantazji. Mniej śmiesznej niż rzeczywistość.

WIDOK

LEWYM OKIEM!

DAJE SIĘ PRZEKONAĆ

W ostatnich dniach w wielu instytucjach rozdano kierownikom działów „Arkusze ocen", które mają ułatwić sprecyzowanie opinii kierownika o każdym z jego podwładnych. Sprawa jest poważna, „Arkusze" stanowią próbę przemyślaną, nie byłoby dobrze, gdyby niniejszy felieton odczytał ktoś jak satyryczną prześmiewkę z tej próby. Absolutnie nie — przeciwnie, „Arkusze" są z całą pewnością dużym krokiem naprzód w żywiołowej dotychczas i opartej na chwilowych nastrojach, na subiektywnych „odczuciach", polityce kadrowej. Ale przecież nie zamykają dyskusji na ten temat, ani tego tematu nie wyczerpują. Więc spróbujmy podrzucić parę dyskusyjnych, dyktowanych wątpliwościami uwag.

Arkusz oceny rozróżnia piętnaście kryteriów, do każdego z nich kierownik działu ma przymierzyć pracownika i postawić mu jeden z czterech możliwych stopni. Cała ta cenzurka musi być przez kierownika uzgodniona z dyrektorem resortowym a potem ujawniona zainteresowanemu pracownikowi.

Jeżeli kierownik działu ocenia pracownika inaczej niż dyrektor resortowy, to obaj spisują swe opinie i przedkładają Komisji Oceny Kadr do rozpatrzenia. Członkiem tej Komisji jest znów ten sam resortowy dyrektor, natomiast nie jest nim zainteresowany kierownik. Trochę to dziwne, żeby ta sama osoba rozstrzygała spór, w którym jest jedną ze stron, pod nieobecność drugiej strony.

Zainteresowany pracownik nie powinien chyba wiedzieć o tym, że co do jego sprawowania kłóci się pan kierownik z panem dyrektorem. Więc chyba ujawnia mu się całą ocenę po jej rozpatrzeniu przez Komisję, przedłożeniu Dyrektorowi Naczelnemu i zajęciu przezeń stanowisk.

No i wreszcie dyrektor resortowy rozmawia z każdym pracownikiem oddzielnie. Musi to być ojcowska rozmowa, a wynika z niej tylko to, że:

— albo pracownik jest uszczęśliwiony oceną i leci podzielić się nią z rodziną,

— albo czerwienieją mu uszy i wychodzi, oceniając z kolei (ale w duchu), kierownika i dyrektora,

— albo wreszcie wychodzi i składa protest w Komisji Oceny Kadr, w której znów natknie się na tego samego dyrektora resortowego jako członka Komisji. To też trochę dziwne.

Najtrudniejsze zaś sprawy wynikną przy ocenianiu kierowników działów, a to jest najważniejsza część całego personelu, najwnikliwszej wymagająca oceny. Z kim uzgadnia swe sądy o kierowniku — dyrektor resortowy? A jeśli dyrektor resortowy oceni kierownika w rozdziale „Stosunek do podwładnych", że „jest niesprawiedliwy, przypisuje sobie zasługi podwładnych, obciąża ich własnymi błędami" — to co warte są oceny pracowników, dokonane przez takiego niesprawiedliwego kierownika?

A jeśli ta cecha niesprawiedliwości zostanie przypisana kierownikowi niesprawiedliwie? Kto to rozezna i sprostuje?

A jeśli dyrektor resortowy oceni w rozdziale „stosunek do przełożonych", że kierownik jest „na ogół zdyscyplinowany, ale zachowuje się niekiedy krnąbrnie lub ulega presji bez przekonania" — to kto sprawdzi, czy tenże dyrektor wywierając presję ma zawsze rację i zawsze chce i potrafi przekonać kierownika? Czy to może kierownik ma rację, ale musi ulegać (bez przekonania) bo co ma robić? Oczywiście „wzorowym" jest kierownik który „posiada własne zdanie i potrafi go bronić, daje się przekonać rzeczowymi argumentami" — ale oceniający go dyrektor resortowy nie może przecież o własnych argumentach dogmatycznie twierdzić, że są zawsze „rzeczowe". Mój Boże, gdyby tak było! Można się natomiast obawiać, że stopień „wzorowy" zostanie przyznany temu kierownikowi, który „posiada własne zdanie ale zawsze daje się przekonać dyrektorowi". Musiałbym wierzyć w nadludzką sprawiedliwość dyrektorów, żeby myśleć inaczej.

Skoro jednak zakładamy możliwość idealnego obiektywizmu z góry, to załóżmy go także trochę niżej: niech podwładni drogą ankiet oceniają co do niektórych cech — swych przełożonych. Jeśli dyrektor naczelny i działająca przy nim Komisja Ocen otrzymają ocenę kierownika działu, dokonaną przez dyrektora resortowego, oraz oceny tegoż kierownika dokonane przez podległych mu pracowników (przy czym można tak sformułować pytania ankiet „oddolnych", żeby ograniczyć do minimum możliwość zagrania pobudek serwilistycznych i odwrotnie — pieniackich), to będą mieć więcej przesłanek do prawidłowej oceny kierownika, a przy okazji, częściwo, także dyrektora resortowego.

A tego ostatniego też przecież w jakimś „Arkuszu Ocen" trzeba będzie opisać!

ĆWIEK

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6.50 zł, kwart. 19.50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 2857. T-3.